Rok VI. Nr. 11—13.

HARCERZ

PORT NA HELU.



Zaroją się wkrótce brzegi polskiego morza, ożywią się lotne piaski Jastarni, roześmieją lasy całego Helu, echem pieśni naszych rozdzwonią się skały Oksywji i nadbałtyckich polskich wsi. Na całej przestrzeni polskiego brzegu zakipi młode życie, setki i tysiące młodzieży czerpać będą dobroć słońca i wody morskiej, skarbić sobie będą na cały rok roboczy zapasy zdrowego, ożywczego powietrza. A chociaż mały, ach, jak bardzo mały skrawek nadbrzeżny do nas wrócił, przecież tem więcej, tem goręcej go cenimy. Zetknięcie się ludności innych dzielnic z niezrównanymi Kaszubami winno dać owe natychmiastowe korzyści dla państwa, których napróżno szukalibyśmy w innych dziedzinach, przy nierozwiniętych portach (Puck, Hel) przy niemożności szybkiego stworzenia pierwszorzędnych urządzeń portowych (Gdynia).

W radosnym nastroju wakacyjnym nie rozpaczać nam nad szczupłością wybrzeża — bo gdy dusze nasze urosną, urośnie i ono. Ale wyzyskać ten czas dla zjednoczenia narodu, dla wrośnięcia wszystkich w państwo tak, jak dziś wrośli w ziemię swoją.

Tę miłość do naszego państwa rozbudzać nam wszędzie i zawsze. Powiększmy Hel — wielkością serc i duchów.

HARCERZ

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. 20 CZERWIEC 1925. Nr. 11.

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

POBUDKA.

Naprzód! Do boju! Uczyń ślub,
iż bić się będziesz póty,
aż legnie wróg u polskich stóp
pokotem w walce lutej.
I niech ci huczy jako dzwon
wojennych zgiełków armja,
i krzyk z tysięcy bratnich łon,
jak piorun: Jezus, Marja!

Naprzód! Do boju! Nie szczędź sił,
jak ojce bądź wytrwały,
z których się każdy jak lew bił
dla nieśmiertelnej chwały.
I niechaj świadczy wrogów kark,
żeś pan, nie byle parja!
kiedy się wyrwie z polskich warg,
jak piorun: Jezus, Marja...

Naprzód! Do boju! Z krwi i ran,
gdy taka Boża wola,
uwije ci się zasług wian
i chluby aureola.
Niech wskrześnie Wiedeń, Chocim, Bar,
skrzydlaty huf, husarja,
i bitwy polskiej znój i żar
i piorun: Jezus! Marja!

WAKACJE.

Ileż to radości, wesela, ile uśmiechów szczęścia rozjaśnia młode twarze!

Kończy się rok szkolny, rok pracy i wysiłków, kończy się — nareszcie!

Dla gromady harcerskiej teraz dopiero otwiera się pełne pole i popisu i zdobywania najbardziej potrzebnych cech harcerskich — zaczyna się okres kolonij letnich, obozowego życia, próbowania swych sił i wiedzy, prawdziwego łamania się z trudnościami i uczenia się samowystarczalności, czerpania pełną piersią skarbów największego naszego majątku—Boskiej przyrody.

I dla gromady tych, którzy i które poza harcerstwem stoją — podobny okres się zbliża. Bo przecież wszyscy, cała nasza młodzież używać będzie wakacyjnych wywczasów nie na wypoczynek wyłącznie, ale przedewszystkiem na wypoczynek celowy, na gromadzenie sił i tężyzny, by przyszły rok szkolny przebyć dzielnie i zwycięsko.

Ale przecież, szczęśliwsze harcerskie gromady.

Bo one mają gotowy, wypracowany przez zimę program, bo mają ułożone już oddawna, wzbogacone, cyzelowane plany, które każą im w pierwszym rzędzie wykonać pewną pracę, a ta siłą rzeczy niesie z sobą podniesienie tężyzny fizycznej, ale w pierwszym rzędzie nakazuje wykonanie najściślejsze programu obozowego, dającego hart ciału i wielki, potężny hart duchowi naszemu.

Niemałą w tym programie częścią jest myśl o tym, by nie sobie wyłącznie służyć i nie o sobie wyłącznie pamiętać. Wszak cała służba harcerska, niosąca z sobą tyle rozkosznych chwil osobistego, jednostkowego zadowolenia, mająca tyle uroku i młodzieńczej radości — wszak ona w całości jest tylko przygotowaniem do tego wielkiego celu, jakim jest służba Bogu i Ojczyźnie.

Pamiętając o tem wszystkiem, spróbujcie, czy nie możnaby już teraz, już tych wakacyj choćby w drobnych szczegółach tego pożytku ogółowi przysporzyć, czy nie zdołacie już dziś w skromnym, małym zakresie — a jednak już dziś do powszechnego przyczynić się dobra.

Często, bardzo często wybiegamy myślami poza nasze granice, ku tym siostrom i braciom naszym, którzy poza kordonem zostali, którym taka sama dzieje się krzywda, jaką myśmy przez najmłodsze lata, a rodzice nasi, przez połowę życia, a dziadowie przez całe cierpieli.

Często myślimy o tych tysiącach dusz polskich, które na Śląsku, czy w Prusach książęcych (na Mazurach), czy na Litwie Kowieńskiej, czy wreszcie na ukrainnych polach kryć nieraz się muszą z polskością swoją. I im bardziej gnębią ich zaborcy, im bardziej dla naszej mocarstwowej pozy-

cji są nam oni wraz z krajem ich potrzebni, tem bardziej zżyma się myśl nasza, tem boleśniej czujemy ich i naszą krzywdę.

Ale nie o nich tylko myślimy.

Gdy spojrzycie na przecudne, ogromne rozłogi pól naszych, gdy kochającem sercem obejmiecie całość ziem Rzeczypospolitej, ileż ujrzycie jeszcze tysięcy obywateli, którym niski poziom kultury i prawie żadne uświadomienie obywatelskie nie pozwala poczuć się braćmi naszymi, którzy wśród nas żyjąc — obcymi są dla nas, obcymi narodowi naszemu i naszemu państwu.

Czy nie moglibyście w swoich wędrówkach, czy w czasie swego obozowego życia pociągnąć ich do owej wspaniałej uczty kultury naszej? Czy nie moglibyśmy dać tym tysiącom i dziesiątkom tysięcy — niewielkim wysiłkiem — uczestnictwa w bogactwach nie naszej tylko, lecz i ich przeszłości, rozgrzać ich dusze tym płomieniem, który nas przenika i dać im choć trochę szczęścia miłości Ojczyzny?

I harcerki i harcerze mogą to zrobić. Wyrosną obozy nasze na wszystkich ukrainnych rubieżach Rzeczypospolitej; może wędrowne obozy, czy grupy poza próg Ojczyzny się wysuną. Niechaj nie będą te obozy jeno teoretyczną szkołą harcerskiej służby — niech sieją one wszędzie to dobre, potężne ziarno miłości Polski i ukochania Jej ran i triumfów, Jej szczęścia i niewoli, Jej przeszłości wielkiej i tej przyszłości, którą wypromienić pragniemy wszyscy.

Do tej „wakacyjnej" pracy powołani są wszyscy, nietylko harcerki i harcerze, ale wszyscy młodzi, którzy ogrom zapału swego tchnąć mogą w serca nieświadomością lodowate. Wielka to służba i naprawdę powszechna.

Niech rzeszom młodzieży polskiej, — całej i wszędzie—wakacje dlatego będą wakacjami, że wolne od wszelkich drobnych ciężarów—bo przecież drobne stosunkowo są ciężary obowiązków szkolnych i troski o dzień dzisiejszy — ten jeden poczują ciężar: ten tylko ma w sobie skarby miłości Ojczyzny, ta tylko ma moc wiary w szczęście narodu—kto owych skarbów drugim użycza, kto ową wiarę u innych budzi, kto w najbliższem swem otoczeniu pozornie obcem swojskie wytwarza wartości i daje mu szczęście takiego umiłowania Polski i przyszłości, jakie w nas płonie.

Takie niech będą Wasze wakacje.

Tadeusz Uhma.

OD REDAKCJI.

Umilknie na chwilę „Harcerz". Jeśli dostaniemy odpowiednią ilość adresów naszych Czytelników, postaramy się wydać osobny numer wakacyjny, aby w ów czas radosnej pracy być z Wami nie tylko duchem, ale jak najbardziej realnie, bezpośrednio, by Wam „Harcerz" ducha dodał i odwagi. Jeżeli zaś tak się rozbiegniecie, że słuch o Was dojdzie do Redakcji dopiero z początkiem przyszłego roku, to już teraz jedną zanosimy prośbę. Pamiętajcie o naczych ideałach, o naszej służbie. Przyszły rok szkolny zaczniecie znów razem, wesoło, szczęśliwie.

LISTY DO PRZYJACIÓŁ-HARCERZY.

I.

Drodzy młodzi przyjaciele!

Otrzymawszy zaproszenie do współpracownictwa w piśmie harcerskiem, odczułem nietylko szczerą radość, która ożywia każdego chyba przedstawiciela starszego społeczeństwa, gdy się doń zwraca młodzież z zaufaniem i przyjaźnią, lecz ogarnęło mnie głębokie wzruszenie, bo przed okiem mej pamięci stanęły wspomnienia dawne, z czasów gdy na szereg lat przed wielką wojną światową, wespół ze szczupłem — ach, jakże szczupłem, — gronem osób danem mi było zakładać podwaliny ruchu harcerskiego w ówczesnym zaborze rosyjskim. Urągając tropicielstwu władz moskiewskich, organizowaliśmy w ukryciu konspiracyjnem pierwsze kursy instruktorów harcerstwa; gdy wbrew przesądom i obawom większości rodziców i ciała pedagogicznego torowaliśmy drogę nieznacznemu w owych czasach u nas kierunkowi wychowawczo-etycznemu, ożywieni głęboką wiarą w ostateczne zwycięstwo ukochanej przez nas idei odrodzenia narodu przez harcerstwo, gromadziliśmy z trudem pierwsze zastępy młodzieży, z których dzisiaj, w Polsce Niepodległej wyrósł potężny hufiec Waszej organizacji. Czując się tak głęboko związany z Harcesrtwem i pragnąc tej łączności dawnej nadać nowe, ożywcze tchnienie, pragnę współpracownictwo moje w piśmie Waszem, kochani Przyjaciele, ująć nie w formę mniej lub więcej objektywnych, zimnych, chociażby najbardziej pouczających artykułów „obcego" człowieka, lecz nadać im formę listów przyjacielskich o sprawach, które myśl moją i serce moje zaprzątają, gdy się stykam z młodzieżą współczesną, o jej losach rozmyślam, kierunek jej pragnień i wysiłków badam, jej posłannictwo ideowe w życiu wolnego i niepodległego Narodu Polskiego przeniknąć usiłuję. Ten kształt mej współpracy w piśmie Waszem zwiąże nas, mam nadzieję, głębiej i mocniej, i utoruje — być może — drogę wspólnej pracy naszej w dziedzinach, na które uwagę Waszą zwrócić pragnę. A jeżeli gawędy moje, czy w ich treści, czy w ich formie, oddźwięku w Was nie wzbudzą, to, jak na prawdomównych Harcerzy przystało—powiadomcie mnie o tem szczerze i otwarcie. Ani się o to obrażę, ani pogniewam,—zrozumiem jedynie, że zbyt już daleko odbiegłem duchem od myśli i uczuć młodzieży współczesnej—i zamilknę.

* * *

Rozmowy nasze pragnąłbym rozpocząć od sprawy, która mnie, działacza społecznego od lat bardzo młodych, szczególnie obchodzi i, śmiem powiedzieć, nieco niepokoi, gdy się zastanawiam nad rozwojem Harcerstwa w Polsce. Sprawą tą jest stosunek ideowy i stosunek życiowy młodzieży harcerskiej do warstw ludowych, ich bytu, ich potrzeb, ich dążeń i ideałów. Polska odrodzona oparła swój cały ustrój na podstawach stanowczo demokratycznych, oddała na mocy zasad swej Konstytucji rządy państwem w ręce szerokich mas ludu, które drogą głosowania, w Europie najpowszechniejszego, tworzą Sejm i z jego woli wyłoniony Rząd, aż do Głowy Państwa włącznie. Tak uczyniwszy, dała Polska wyraz wierze i przekonaniu, że lud polski stanie na wysokości przekazanych mu za-

dań, nie ugrzęźnie w ciasnem kole interesów czysto materjalnych poszczególnych klas społecznych, lecz stanie się obrońcą i szermierzem całości narodowej, jej rozwoju harmonijnego we wszystkich dziedzinach. Tak stać się musi jeżeli Polska, wrogami otoczona, przez półtora wieku niewoli osłabiona, nie ma się znowu stać pastwą nowych zaborów i ofiarą nowych grabieży.

Lud jednak polski jest jeszcze w bardzo znacznej swej masie ciemny i niewykształcony. Nie brak mu dobrej woli, zdolności wrodzonych, patrjotyzmu instynktownego, — lecz brak mu kultury i oświaty, brak zżycia z wyższemi formami cywilizacji, z inteligencją i znamionującem tę inteligencję poczuciem odpowiedzialności. Wprawdzie szkoła ludowa, organizacje ludowe miejskie, prasa i piśmiennictwo ten stan rzeczy stale na korzyść zmieniają, proces to jednak nietylko długotrwały, ale i pozbawiony najczęściej pierwiastków pełnego idealizmu, bezstronności, zaparcia się osobistego, które to czynniki ostatecznie zadecydują o przyszłym charakterze i poziomie polskich warstw ludowych. Starsze społeczeństwo, bądź samo już sterane ciężką walką o byt, bądź też traktujące sprawę publiczną ze stanowiska partyjnego, ciasnego, utylitarnego,—nie zdoła wzniecić w szerokich masach ludu owego ognia wielkich i szlachetnych ambicyj, które w rachunku ostatecznym zaważą na losach całej Polski. — Czy rola ta — pytam—nie spada na młodzież, tak starszą, akademicką, jak młodszą, szkolną,—a w szczególności na Harcerstwo, jako ognisko najwyższego idealizmu wśród młodzieży? Czy nie sądzicie, młodzi przyjaciele, że jednym z najpiękniejszych obowiązków harcerza winno być zbliżenie się do ludu, poznanie go, wpływanie na jego życie, na kierunek jego potrzeb i pragnień,—słowem zadzierzgnięcie węzłów jak najmocniejszych pomiędzy inteligencją młodego pokolenia a naszym z daleka, lecz jakże barwnym z blizka—światem pracy na wsi i w mieście.

Daleki jestem od myśli, którаby dzisiaj była na szczęście anachronizmem, by z młodzieży czynić fachowych działaczy ludowych, zaniedbujących własne wykształcenie, własne potrzeby, własne rozrywki, a oddających się wyłącznie pracy wśród ludu. Było to koniecznością w czasach niewoli, gdy niemal sama młodzież dźwigała na swych barkach ciężar oświaty ludowej, ciężar uświadamiania politycznego i społecznego mas pracujących, kierunek i ster wszystkich prawie organizacyj ludowych.

Inny powinien być w Polsce niepodległej charakter i zakres pracy wśród ludu dla młodzieży. Może się ona zorganizować do współżycia częściowego, do pracy pomocniczej, do wyraźnie określonych dziedzin. Ale istnieć ona winna. I to nietylko w imię potrzeb ogólnych, o których powyżej wspomniałem. Idąc do ludu, z nim współżyjąc i współpracując, przysłuży się młodzież nietylko sprawie przyśpieszenia kultury ludowej, ale sama zdobędzie skarby myśli i uczuć, których osiągnięciu w życiu późniejszem tysiączne trudności stawać będą na przeszkodzie. W mieście czy na wsi — życie ludu odsłoni przed młodzieżą nieznane jej obrazy, ujawni potrzeby i dążenia, których znajomość pobudzi do myślenia i do pracy w kierunkach uprzednio zgoła nieznanych, wskaże niejedno zło, które uleczyć trzeba, ale i wiele ukrytego piękna uczuć i pragnień, których urzeczywistnieniu trzeba będzie dopomóc, rozwój przyspieszyć i utrwalić. W sutery-

nie robotniczej, czy w czworaku włościańskim znajdzie się pole i do czynów altruistycznych, których spełnianie wszak stanowi jeden z najistotniejszych obowiązków harcerza, i do postępków, kształcących męstwo i odwagę, rozumną inicjatywę, wrażliwość na losy bliźniego. Wielkie tam leżą skarby — trzeba się tylko zabrać do zapoznania się z niemi.

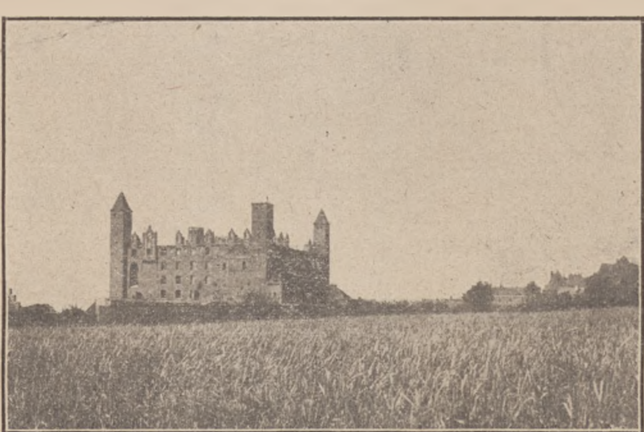
Prześladuje mnie obawa — być może mylna — że Harcerstwo nasze dotychczas zbyt mało uwagi dziedzinie tej poświęca. Rozumiem doskonale, że nawał innych prac i obowiązków nie dozwolił dotychczas w tę stronę baczniej spojrzeć. Sądzę jednakże, że już nadszedł czas po temu i że warto rozpocząć dyskusję nad formami, w jakie należałoby ująć tę pracę. Jeżeli niniejsze uwagi moje wzbudzą echo zainteresowania wśród Was, kochani, młodzi przyjaciele, gotów jestem pomówić w następstwie o sposobach urzeczywistnienia poruszonej tutaj sprawy. Nie wątpię, że redakcja „Harcerza" dopomoże nam do wymiany myśli w tym względzie.

Tymczasem kończę tę pisemną naszą rozmowę, ściskając serdecznie dłonie Wasze, kochani Harcerze i miłe Harcerki.

Szczerze Wam oddany

Gustaw Simon
Podsekretarz Stanu
b. Wiceminister Pracy
i Opieki Społecznej

GNIEZNO.



Zamek niegdyś krzyżacki.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

W POLU.

Biją dzwony, huczą dzwony,
Idę polem zamyślony,
A promienna fala zboża,
Jak złotego przestwór morza,
Szumi u mych stóp.
Ziemio moja! Ziemio moja!
Z tobą święty wziąłem ślub —
Biją dzwony, huczą dzwony,
Błękitnieje w dali las,
Pieśnią sosen rozmodlony...
Ziemio moja! Pola moje!
Góry moje!
Lesie mój daleki!...
Syn piastowy oczy poję
Urokami waszych kras.
Dźwięczą śpiże rozdzwonione
W południową chwilę spieki —
Niechaj będą pochwalone
Ziemia moja, pola moje,
Góry moje, lasy, rzeki!

250 KILOMETRÓW ŁODZIĄ. (Dok.)

Kolację spożyliśmy wśród gwarnych wspomnień o dzisiejszej podróży. Gdyśmy się kładli do snu, dookcła panowała cisza nocna, przerywana szmerem bijących o brzeg rytmicznie fal morza.

Nazajutrz „Korona" z mocno nadętym żaglem mknęła dalej na północ, w kierunku od przylądka Czerwonego do ujścia Sujfuna, przerzynając wpoprzek zatokę. Po parugodzinnej żegludze stanęliśmy u wysepki Riecznaja, sterczącej w zatoce niedaleko ujścia Sujfuna, jakby kamień ogromnych rozmiarów położony czyjąś ręką, ażeby znajdująca się na niej latarnia morska mogła być drogowskazem dla zbłąkanych wśród nocy żeglarzy. Stoi trudno dostępna z powodu stromych, wietrzejących brzegów i podwodnych kamieni, tylko z północnej strony posiada śliczną, zawsze spokojną, głęboką i przezroczystą zatokę. Po pewnym czasie wchodziliśmy już do ujścia nieznanej nam jeszcze rzeki. Stąd rozpoczęliśmy swoją rzeczną żeglugę. Płynęliśmy wartko pod żaglem. Ujście rzeki było bardzo wzburzone; dął silny wiatr z morza i spędzał w ujście rzeki falę za falą. Wtem ster, potrąciwszy o coś, wyskoczył z haków; łódź zaś mocno



uderzyła o coś i stanęła. Okazało się, że pędzeni wiatrem, a nieznając nurtu tej rzeki, wpadliśmy na mieliznę. W pierwszej chwili przypuszczaliśmy, że naniosło tu prądem piasku, więc pchaliśmy łódź, ażeby przejść to miejsce.

Niestety! Pchaliśmy długo, ale końca mieliźnie nie było. Przejście musiało być. Chodziły tędy chińskie i koreańskie „szałandy" (wielkie łodzie z tępym dziobem; zbudowane z grubych bali; chodzące pod żaglami, w czasie cichej pogody, poruszane dwoma lub trzema długiemi wiosłami. Wioślarz stawiał wiosło małem wgłębieniem prawie na środku, na gałkę dużego gwoździa, wbitego w pokład, tak, że jeden koniec—łopatka była w wodzie, drugi zaś był przymocowany sznurem do pokładu, i poruszał go, trzymając jedną ręką wiosło, a drugą sznur, którym bądź przyciągał, bądź odpychał pokład). W poszukiwaniu „farwatera" (przejścia) łaziliśmy po piasku, przykrytym na 25 lub 30 cm. wodą. Na szczęście zobaczyliśmy niedaleko od nas pędzącą pod żaglem „szampunkę" (też taka sama łódź, lecz daleko mniejsza), za którą w parę minut i my dążyliśmy. Wkrótce znikła nam z oczu na zakręcie o brzegach górzystych. Mijając zakręt, zauważyliśmy, że rzeka rozdwaja się. Byliśmy więc na rozstajnych drogach. W prawo, czy w lewo? — zapytanie, którego bez mapy w nieznanej miejscowości nie w stanie byliśmy rozwiązać. Ruszamy w prawo. Rzeka zupełnie spokojna, chociaż nie bardzo szeroka, lecz pozwalała nam jechać pod żaglem. Z jednej strony niewysokie góry, pokryte lasem, zagradzającym zdawało się nas od wiatru, który jednak wciąż wypadał na nas

z przełęczy, by porwać nasz żagiel, popędzić łódź z całej swej mocy, a potem rozejść się po nizinie leżącej z drugiej strony. Wtedy „Korona" z szumem rżnęła dziobem spokojną powierzchnię rzeki, jakby torpeda, przecinająca powierzchnię morza w pierwszym impecie. Cała nizina była pokryta trzciną i przytem była błotnista. Nie widzieliśmy nikogo prócz dwóch dzikich kaczek, które wyfrunęły z zarośli trzcinowych, wystraszone i skryły się gdzieś opodal.

Nadchodzący zmierzch zmusił nas do szukania dobrego i bezpiecznego miejsca na nocleg. Jak na złość rzeka stała się płytszą i węższą, brzegi jej wywijały się gzygzakiem jak wąż, stawała niemożebną do dalszej jazdy. Nareszcie utknęliśmy między dwoma brzegami gęsto zarośniętemi trzciną. O zaobozowaniu w tej bagnistej miejscowości nie było mowy. Postanowiono zwiedzić zarośla. O kilkanaście kroków od nas płynęła spokojnie rzeka, łącząca się z naszą przez to wąskie przejście, w którem właśnie stanęliśmy. Przebrnąwszy przez te zarośla, znów płynęliśmy z prądem jakiejś rzeki. Na jednym z zakrętów spotkaliśmy rybaków, bardzo przestraszonych naszem niespodziewanym zjawieniem, od których dowiedzieliśmy się o szukanej przez nas Gaładskoj-Padi. Kierunek przez nas obrany był dobry, byliśmy już prawie na miejscu.

Przez chwilę wyładowywaliśmy swoje sprzęty na brzeg małej rzeczułki Gołandki. Dotarliśmy do miejsca dla łodzi naszej nieprzebytego. Na szczęście siłą rąk naszych, brodząc po wodzie, dopchnęliśmy łódź do brzegu. Otóż jesteśmy na t. zw. chutornie niezamożnego rolnika. Przy blasku świecy, skupieni w jedną gromadę, opowiadamy gospodarzowi o naszych przygodach.

Cóż? Pora do snu... Ułożono nas na świeżem, pachnącem sianie. Co za przyjemność! Tu była dla nas wolność, czuliśmy się mocniejszymi—tak silnie działała na nas otaczająca natura. To świeże powietrze, ta woń siana i kwiatów, to wiejskie życie, te budynki wieśniacze wśród ścielących się naokoło pól — wszystko to nowe, miłe widoki dla nas, mieszczuchów. Swobodni, nie słyszymy bolszewickiego gwaru, który pozostał daleko za nami. Znajdujemy się wśród ludności źle usposobionej do bolszewików, a tem bardziej rozpoznawszy nowoprzybyłych, skarżyli się na swoją niedolę. Jutro znów mknęliśmy dalej, pędzeni ostrym wiatrem.

Już było popołudniu. Przed nami ukazał się tor kolejowy, opodal zaś budynki, koszary żołnierskie, cerkiew. Była to osada Rozdolnoje.

Tu dopiero zorjentowaliśmy się gdzie jesteśmy, wprost nie wierzyliśmy sobie, że tak daleko zabrnęliśmy od naszego miasta i morza. Lądujemy między chińskiemi łodziami „szałandami", biorącemi ładunek do miasta Władywostok. Zwykła ich nawigacja. Na widok jedzących Chińczyków podwoił się nasz głód. Zmówiliśmy się z jednym Chińczykiem, bardzo uprzejmym, który ustąpił nam swój wielki kocioł, gdzie już gotowała się kasza ryżowa. Rozchodzący się zapach od przypalonych skwarek podniecał nasz apetyt do niemożliwości. Wreszcie zaspokoiliśmy go tą smaczną potrawą, od której nic się nie pozostało. Na próżnię spoglądało tylko, oblizując usta, sześć par ócz.

Udajemy się na zwiedzanie stacji i osady. Jakieś nieprzyjemne uczucie, wszystko się zdaje umarłem. Ruchu żadnego. To obecność bolszewików zrobiła osadę nieżyjącą. Niewielkie stare domy, niektóre potrzebujące reperacji, są rozrzucone w nieporządku; z pomiędzy nich wyłania się cerkiew z jej wyzłoconemi, błyszczącemi kopułami. Napewno w niej został założony klub „komsomołu" (komuni-

stycznego Związku Młodzieży). Ma się rozumieć odbywają się wieczorki taneczne, szydzenie, połączone ze śpiewami podczas gier. Śmieszne to, co mówią, że „my, komunisty, niczego nie priznajom i nie wierim w durman naroda; sprawiliś z ziemnym cariom, sprawimsia i z niebiesnym“ *).

Upiększeniem i urozmaiceniem tej osady były koszary żołnierskie. Dużo zbudowano tych ładnych budynków, dużo było dawniej i żołnierzy-Polaków tutaj, lecz teraz, niestety, przedstawiały one nędzny widok. Zrujnowane, postrzelane, szyby powybijane, wogóle czasy rewolucyjne zniszczyły tę pracę długoletnią.

Jako tako był ożywiony targ: rząd sklepików chińskich, leżących wzdłuż ulicy.

Nasze zjawienie się rozjaśniło twarze Chińczyków, zaciągali nas przymusowo do sklepików, aby coś kupić. Daliśmy im trochę zarobić.

Na ulicach można spotkać spacerujących z zadowoloną twarzą i gryzących nasiona słonecznika czerwonych żołnierzy i „bejców". Odrapani, mizerni, lecz noszący wielką gwiazdę o pięciu promieniach, przypominającą im pięć części świata, w których to muszą zabłysnąć hasła komunizmu.

Jakoś to nas znów przygnębiło, woleliśmy być sami oraz daleko od tego, chociaż wszyscy nas przyjmowali za „komsomołców" więc przyjaźnie.

Następnym rankiem śmignęliśmy stąd, zawijając do Sujfuna, do którego tą okólną drogą znów weszliśmy. Rzeka, którą cały czas płynęliśmy, nazywała się Poczichiezą (chińska nazwa). Chociaż płynęliśmy teraz z prądem Sujfuna , jednak dał się on nam we znaki. Silny, ostry wiatr tamował nam łódź, zmuszał nas do większych wysiłków, aby posuwać się naprzód. Miejscami tylko rozwijaliśmy pełną prędkość, gdzie wysokie brzegi zasłaniały nas od wiatru.

Były to najcięższe dnie.

Musieliśmy ciągle wiosłować, a o podniesieniu żagla i mowy nie było. Z tych właśnie dni głęboko zaryła się w naszej pamięci niezapomniana i jedna z najfatalniejszych noc. Zmęczeni, wybici z sił, lądujemy. Z zadowoleniem szykowaliśmy się do snu pod wielką barką czy łodzią, która miała nam być dachem nad głową w tej pustej, bezludnej miejscowości.

Co potem się stało, to okropność! Położyliśmy się. Od czasu do czasu przelatujący komar ugryzie to jednego, to drugiego. To jeszcze nic. Wnet rozpoczyna się niesłychana muzyka i śpiew pod naszą barką. Nikt jeszcze prawie nie przymkął oczu, a tu alarm. Tłumy komarów i moskitów rozpoczęły na nas swoją ofenzywę. Do niewypowiedzenia. Nie możemy nic zrobić przeciwko temu. Ognia nie rozpalaliśmy już z góry wiadomo dla czego: dia bezpieczeństwa. W każdej chwili mogły nas napaść grasujące wokoło bandy „chunchuzów" (zbrodniarzy, rozbójników, złożonych z Chińczyków).

Gryzły nas ze wszyskich stron, my zaś wykonywaliśmy najrozmaitsze ruchy, jakby odbywaliśmy gimnastykę szwedzką. To zwijanie wszystkich mięśni ciała odbywało się prawie całą noc, póki nie użyliśmy ostatniego środka: ratować się ucieczką.

Ledwie świt wyruszyliśmy w dalszą podróż. I dopiero na środku rzeki odetchnęliśmy po tak ciężkich cierpieniach.

Mglisty poranek, bez wiatru, równa, lustrzana powierzchnia rzeki; przerzynająca ją szybko, pędzona pod rów-

---

*) „My, komuniści, nic nie uznajemy i nie wierzymy w opjum narodu; daliśmy radę z carem na ziemi, damy i na niebiesiech“.

nomiernemi uderzeniami wioseł łódź —wszystko to rozjaśniało nasze zgryzione, napuchnięte twarze. Zaczął powracać humor. Za chwilę było już gwarno i wesoło. Wybuchy śmiechu rozchodziły się wśród czystego powietrza, odpowiadając dalekiem echem.

Raptownie rozpoczęliśmy polowanie za głową, wynurzająca się z wody. Później okazało się, że to była t. zw. „nerpa". Głowa ta, podobna do głowy psa, wciąż to wynurzała się, to znów się chowała i zawsze była w pewnej odległości od nas. W końcu rzuciliśmy to bezskuteczne uganianie się za tą zwierzyną i ruszyliśmy dalej. Dążyliśmy ku morzu. Podróżowaliśmy pod żaglem, wiosłami, a wreszcie dalej poszliśmy w ślady „burłaków" z Wołgi.

Pewnego pięknego, słonecznego dnia stanęliśmy znów przy znanem już rozdwajaniu się rzeki. Tak zatoczyliśmy koło. Jesteśmy znów w ujściu. Rozpoczęła się walka z bałwanami pędzącemi z morza, z wiatrem ich pędzącym. Fale biją zaciekle w łódź, odrzucają ją wstecz. Żywioł morski wraz ze swoim sojusznikiem, wiatrem panuje nad nami. Dobywamy ostatnich sił, aby wyjść na morze, aby przebić się przez tę cieśninę, a tem bardziej dopiąć już znajomej nam wysepki, obiecującej dać nam schronisko i odpoczynek. Nareszcie jesteśmy na morzu, ale owiani nocą! Fale niemiłosiernie szarpią nas... ciskają swe razy i zalewają. Buch! Szarpięta falą łódź trafia na coś twardego. Bęc! „Mocniej, chłopcy, mocniej! Rozbije nas..." — krzyczy nasz kapitan. „Ja... ja.., z-zmie — ...rzę, czy tu głęboko.." — przestraszonym, przerywanym głosem wymawia najmłodszy z wioślarzy, rzucając wiosło i chwytając za hak, ażeby opuścić go do wody. „Wiosłować!" — wyrywa się groźnie z ust naszego kapitana.

Borykając się szczęśliwie, wymknęliśmy się z pod szaleństwa fal morskich. Staliśmy już na twardej ziemi.

Nazajutrz przecinaliśmy ukośnie zatokę pod bocznym wiatrem, płynąc po rozbałwanionem morzu, zalanem światłem potężnego słońca. Z chwilą opuszczenia się jego ku zachodowi kończyła się nasza szybka jazda. Ta kołysanka morska niezmiernie silna tym razem, z powodu bocznego wiatru, wywołała u paru wioślarzy chorobę morską.

Zdawało się, że łódź szła nie naprzód, lecz w bok, wdrapując się na grzbiety fal, znowu opuszczając się między nie. Tak cwałowaliśmy po dzikiem morzu. Obóz założyliśmy w odległości trzydziestu trzech kilometrów od Władywostoku. Tu wypadło nam czekać na przejście niespodziewanego „tajfunu". Straszny huragan szalał na morzu, szukając ofiary, którąby w jedno mgnienie zgniótł. Jednak znalazł tę ofiarę w porcie Władywostockim, — jeden, mały statek. Zdruzgotany, został pochłonięty przez tę szumiącą, nienasyconą otchłań morską.

Nareszcie nastała tak długo oczekiwana pogoda. Sprzyjający wiatr. „Odbijać!" — zawołał kapitan. Jednym rzutem podniósł się żagiel i rozciągnął się do gaf-reji.[1]) Przestrzeń wciąż się zmniejszała. Cisza na łodzi była nadzwyczajna. Każdy był pogrążony we wspomnieniach tylko co przebytych przygód tego dwutygodniowego podróżowania. Miłe wspomnienia. Ostatecznie dotarliśmy do Władywostoku i znów „Korona" stała w małej zatoce.

„Wilk morski".

[1]) gaf-reja — poprzeczna na maszcie.

MICHAŁ ANIOŁ BUONAROTTI.

Z przekładu Leopolda Staffa.

* * *

Chciałbym chcieć tego, czego nie chcę, Panie.
Pomiędzy czynem i chceniem zasłona
Wisi lodowa, mróz wnosząc w głąb łona,
Więc czyny me są z wolą w wojny stanie.

Językiem kocham Cię, by wpaść w biadanie,
Że miłość w serce nie wnika; gdzież brona,
Aby nią weszła łaska, co dokona,
Że w niem okrutna pycha nie postanie?

Stargaj zasłonę, Panie! Złam te mury,
Które twardością swą promieniom słońca
Świat przeszkadzają złocić, pełen cienia.

Ześlij mi światło, obiecane z góry
Oblubienicy—duszy, by płonąca
Czcić Ciebie mogła, wolna od zwątpienia.

PISMO OBRAZKOWE.

Tak rozpowszechnione obecnie wśród harcerzy pismo indyjskie nie zostało sporządzone przez kogoś na wyłączny użytek naszych zastępów, ani nie jest pierwotnym sposobem porozumiewania się ludzi. Przeciwnie. T. z. pismo indyjskie służyło Indjanom amerykańskim do porozumiewania się i przedstawia pewien, dość wysoki stopień rozwoju pisma, którego koroną jest dzisiejszy alfabet.

Człowiek pierwotny używał pisma obrazkowego. Pismo to początkowo polegało na tem, że rysowano sceny, możliwie zbliżone do rzeczywistości. T. z. jeśli była mowa o człowieku, pisarz pierwotny starał się możliwie wiernie, aczkolwiek nieudolnie — oddać wszystkie cechy, charakteryzujące danego osobnika. (Rys. 1). Było to oczywiście uciążliwe i nie zawsze wystarczało. Pisarz np. musiał zawiadomić o zbliżaniu się nieprzyjaciół, których wyraźnie nie widział. Zaszła potrzeba rysowania przedmiotów w pojęciu oderwanem. (Rys. 2). Cechy tego człowieka, jak mężczyzna, kobieta, wróg, przyjaciel zaczęto określać znakiem umownym. To samo zaszło przy uwydatnianiu cech martwych przedmiotów jak: wody (Rys. 3), które trzeba było oznaczyć znakiem umownym.

Wkrótce jednak zjawiła się konieczność określania pojęć oderwanych np.: cyfr, miesięcy, cech i przymiotów, jak dobro lub zło, albo przedmiotów takich, których narysować nie można.

Tu pisarz pierwotny miał dwie drogi. Pierwszą było przejście do hieroglifów, spotykanych u Egipcjan. (Od greckiego hieros—święty, glyphein — żyć). Ten rodzaj pisma polega na tem, że każdy przedmiot oznacza jeden dźwięk, co pozwalało na pisanie nazwisk —rzecz niemożliwa w piśmie indyjskiem. Dzisiaj na tej zasadzie można tworzyć szereg tajnych szyfrów. Najprostszym będzie wyrysowanie szeregu przedmiotów. Czytamy pierwsze litery nazw. Dla ułatwienia nie rozróżniamy u i ó, rz i ż. Np. „góra“ (Rys. 4). Zależnie od umowy piszący mogą odczytywać drugą, trzecią, czwartą literę i tworzyć niezliczone kombinacje. Rysunki hieroglifów upraszczano coraz bardziej. Stąd powstało pismo klinowe. Było ono jeszcze bardziej uciążliwe, bo wymagało wielkiej ilości znaków pisarskich. Dopiero rozłożenie dźwięków na poszczególne głoski dało dzisiejszy alfabet.

Indjanie amerykańscy poszli inną drogą. Stworzyli oni pewną ilość *symboli*, t. j. znaków umownych, które oznaczają pewne cechy i przedmioty.

A więc niebo oznaczono jako półkole; słońce przez koło, od którego rozchodzą sie promienie (Rys. 5). Ziemia była niezmiernie trudna do narysowania, gdyż nie znano jej kształtu. Legenda była tu pomocą. Ziemia, podług podań indyjskich, jest grzbietem wielkiego żółwia nazwiskiem Ha-nu-nach, który wynurzył się z Oceanu na rozkaz Wielkiego Ducha (Rys. 6). W Ameryce spotyka się bardzo często rysunki żółwi na brzegu jezior. Oznaczają one, że podróżni przebyli jezioro i w dalszym ciągu podróż odbywają lądem.

Inne znaki, jak rozum, słowo, bogactwo (wielki brzuch), głód (ruch ręki ku ustom), chodzenie (ślad) i t. d. podajemy w tablicy rys. 7.

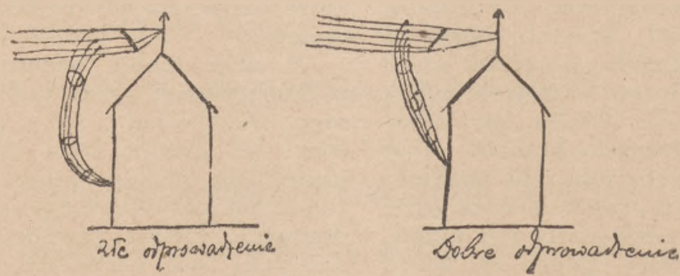
Pisma obrazkowego używały i używają ludy na różnym stopniu roz-



Rys. 7.



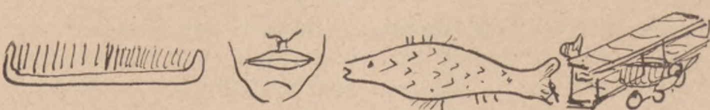
Rys. 1.



Rys. 2.



Rys. 3.



Rys. 4.



styczeń (miesiąc śniegu)

luty (miesiąc deszczu lub głodu)

marzec (miesiąc wiatru lub kruka)

kwiecień (miesiąc trawy)

maj (miesiąc ptaków lub roślin)

czerwiec (miesiąc kwiatów lub róży)

lipiec (miesiąc grzmotów)

sierpień (miesiąc zboża)

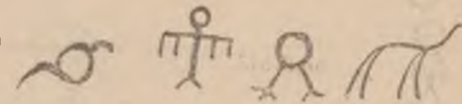
wrzesień (miesiąc łowów lub owoców)

październik (miesiąc opadających liści)

listopad (miesiąc szaleństwa lub niepogody)

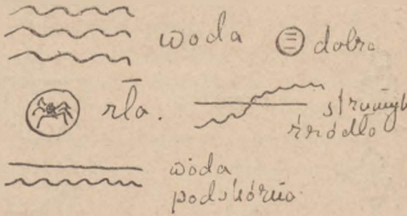
grudzień (miesiąc długich nocy lub dobrej nowiny)

Rys. 6.

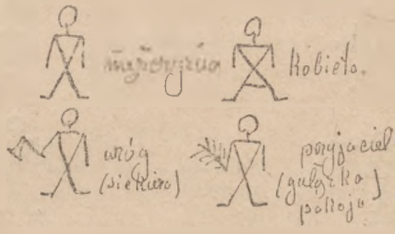


ptak kura koń

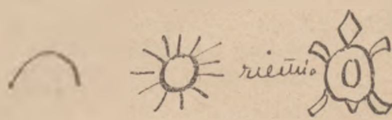
Rys. 7.



Rys. 3.



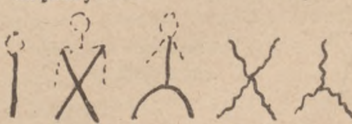
Rys, 2.



niebo słońce ziemia

Rys. 5.

mężczyzna starcy



dziecko kobieta

Rys. 8.


dziecko
mądrość
lekarz lub czarodziej
bogactwo
głód
obłąkanie
śpiewać mówić
gniew
biec
iść
jeniec (bez rąk)
śmierć
zgubiony
znaleziony
wróg (inna odmiana)
przymierze
małżeństwo
ksiądz
czytać
jestem wielki
pięść ręka)
dwanaście
dużo
tak
nie
wątpliwe
chmury
deszcz
śnieg
rzeka
bagno
jezioro
góry
ogień
Niebo i Wielki Duch (symbol — orzeł)
meteory i gwiazdy opadające
las (dużo drzew)
burza.

Rys. 7.

i tego co najnowsze wieki stworzyły. I jakoś dobrze nam wśród tego mrowia ludzkiego, ogromnie ruchliwego, pracowitego, pełnego rozumu i odwagi, połączonej z flegmą i pozorną powolnością.

I nieraz myślałam z odrobiną jakiegoś niewytłomaczonego żalu:

— Anglicy swą powolnością o ile, och, o ile dalej zaszli od nas, gorączkowo żyjących.

FOXLEASE PARK.

— Czas do Foxlease, czas — zanuciła nam druhna Oleńka, kiedyśmy wieczorem zmęczone, chodzeniem, a jeszcze bardziej wrażeniami wróciły na naszą gościnną kwaterę.

Odrazu też, stosownie do rozkazu władzy, zabrałyśmy się do pakowania rzeczy, aby rankiem wyruszyć wprost na pociąg. Dopiero po tej czynności zasiadłyśmy do wieczerzy.

Niewiele czasu traciłyśmy na jedzenie. Już przy stole kleją się nam oczy.

— Jakie to szczęście, że gospodarze nieobecni—myślę sobie, widząc spuszczone głowy, opadające powieki.

Więc prędko, prędko do modlitwy i natychmiast spać.

Ach—wyspać się dobrze.

Jak bardzo smakowało nam nazajutrz śniadanie. Nie dlatego, że doskonałe było mleko, czy, jeśli która wolała, kawa, nie ze względu na bułki, ani masło ani miód, czy — swoją drogą doskonałe—konfitury.

Wcale nie dlatego.

Ale wstałyśmy jakieś rzeźkie, wesołe, a świadomość, że oto, za chwilę ujrzymy Foxlease, staniemy w gromadzie tysiąca dziewcząt z najróżniejszych stron świata, to właśnie wzniecało w nas stan, chyba że podgorączkowy.

Druhna Olga opowiedziała nam, co to jest Foxlease Park.

Jest to park — jak sama nazwa mówi, ale nie taki sobie zwyczajny park. (Broń Boże porównywać go z Saskim, albo podobnym w jednym z naszych miast)—to park Królewski, ofiarowany skautkom przez Księżnę Mary. Bo to w Anglji Królewne (nie te z bajki) są członkiniami skautingu i bardzo żywy biorą udział w pracach naszej organizacji.

Do ogromnej przestrzeni, zalesionej drzewami, pociętej trawnikami i klombami na wspaniałe polany i gaje, urozmaiconej stawami, placami do tenisu, cricketa i innych gier, przytyka willa — pałac z zabudowaniami gospodarskiemi i rozległemi oficynami.

Tutaj odbywają się kursy instruktorek skautowych, najliczniejsze w zimie, tutaj też może każda skautka przez swoje bezpośrednie władze organizacyjne otrzymać miejsce, celem wypoczynku czy poratowania zdrowia w spokoju i pod dobrą, czułą opieką.

Opiekę tę sprawują różne mamusie, nieraz damy z najwyższej arystokracji i jednakowo serdecznie czuwają nad studentką uniwersytetu, jak panną sklepową, czy robotnicą fabryczną, którą jej drużyna przyśle do Foxlease dla poratowania zdrowia.

Wogóle skauting w Anglji jest organizacją naprawdę powszechną, naprawdę przez wszystkich otoczoną opieką, a szczególnie kobiety w ogromnej większości pracują w nim.

Swoją drogą widziałam, jak szalona jest różnica między naszemi warstwami robotniczemi, a tutejszemi. Ogrom pracy trzeba będzie jeszcze włożyć, aby kulturalnie dorość mogły nasze, t. z. warstwy niższe, do poziomu tychsamych warstw w Anglji.

Dlatego też w skautingu nawet nie dostrzeżesz różnicy społecznej między córką lorda, a córką robo-

botnika fabrycznego, kiedy obie spotkają się przy robocie organizacyjnej. Dopiero wówczas, gdy przyjdą ich matki, widzimy po różnicy stroju, że te dwie w najpiękniejszej zgodzie z sobą żyjące i doskonale rozumiejące się córy Anglji, wyszły z dwóch, najróżniejszych środowisk.

Wracając do spraw skautowych, dowiedziałyśmy się, że liczebnie przeważają w Anglji skautki nad skautami. Odwrotnie przedstawia się ten stosunek w dominjach. Tam więcej należy chłopców do organizacji, co łatwo zrozumieć wobec niższego stanu kultury miejscowej ludności w kolonjach, wobec tego, że stanowisko kobiety tam bardzo odbiega od norm europejskich.

Tutaj, w Foxlease miałyśmy się spotkać wszystkie. I my z Europy i te z egzotycznych krajów, i z Ameryki — jednem słowem z obydwóch półkul świata zleciały się skautki do Anglji, aby poznać się, zbliżyć, pokochać, bo skauting to jedna wielka rodzina, obejmująca świat cały, a każda skautka polska, włoska czy angielska postępuje podług jednych zasad, te same ma cele i ideały.

Tydzień ten, spędzony w obozie, zbliżył nas bardzo, dużo nauczył dał większe zrozumienie i ukochanie skautingu.

Ażeby łatwiej było poznać się, obóz został podzielony na grupy. W każdej znajdowała się drużyna angielska z jakiegoś hrabstwa (którego nazwę grupa nosiła) i kilkanaście dziewcząt różnych narodowości. A przy rąbaniu drzewa, gotowaniu obiadu, przy grach i zabawach znajomość szybko została zawarta.

A jak wesoło było zawsze...

Naogół Angielki odnosiły się do nas życzliwie. Jedne z pewną wyższością, gdyż nic prawie nie wiedząc o Polsce uważały ją za kraj dziki, bez żadnej kultury. Zdarzały się naprzykład czasem takie pytania:. Czy są u was słonie? wielbłądy? A żaby?.

Niektóre znowu twierdziły, że Polska i Rosja to jedno, że Warszawa leży w Rosji.

Wycieczka nasza miała wielkie znaczenie propagandowe. Początkowo brano nas za wszystkie narodowości, tylko nie za Polki.

Po paru dniach jednak Polska zyskała uznanie i sympatję, a piosenki ludowe polskie budziły ogólny zachwyt u uczestniczek zlotu.

Po śniadaniu wszystkie zbierałyśmy się na uroczyste podniesienie sztandaru angielskiego. A po odśpiewaniu hymnu „Boże zachowaj nam Króla“, ewangieliczki i katoliczki rozchodziły się na modlitwę. Do obiadu zależnie od wyznaczonej roboty pracowało się w swojej grupie, albo można było też bawić się wspólnie z innemi.

Instruktorki pracowały rano, lub popołudniu na konferencjach, prowadzonych w angielskim języku, czasem francuskim. Chodziło o poznanie dokładnie organizacji w różnych państwach, o zaprowadzenie pewnych zmian na lepsze. W dyskusji najczęściej zabierały głos Polki i Francuzki. Codzień popołudniu odbywały się popisy różnych narodowości. A więc śpiewy, tańce w strojach narodowych, gry, ćwiczenia gimnastyczne, monologi, pantominy i. t. p.

Zawodów, konkursów ani nagród za popisy nie było. Na wystawie prac harcerskich polskie rzeczy najbardziej się podobały.

Wieczorami zbierałyśmy się przy jednem, wspólnem ognisku. Powell przemawiała, a następnie odbywały się znowu popisy, oraz państwa ofiarowywały podarunki Pewell'owej. Od Polski dostała ogromny kilim i prześliczny pająk łowicki. — Ostatniego popołudnia odbyła się wielka uroczystość „Pochód narodów“. Dwie z każdego kraju niosły ogromny

napis danego państwa, a trzecia ubrana w narodowy strój szła ze sztandarem. Napis trzeba było złożyć u stóp lady Baden Powell, zasalutować i iść dalej. Pochód ślicznie wyglądał. Jaskrawe stroje, barwne sztandary mieniły się w słońcu. Jak okiem sięgnąć wił się ten różnobarwny wąż.

A ostatnie ognisko trwało długo, długo do późnego wieczora. W jaskrawych blaskach ognia występowały postacie historyczne, a więc Joanna d'Arc. Królowa Jadwiga i wiele, wiele innych. Na końcu lady Baden-Powell rozdawała odznaki międzynarodowe, i „Srebrne ryby" angielskie.

Kiedy zaś po wspólnej modlitwie cisza zapanowała w obozie, rozległy się po raz ostatni tony pobudki. Brzmiały dźwięcznie, donośnie, potem coraz ciszej, ciszej, coraz nieśmielej, tłumione wzruszeniem dziwnem — wreszcie echo odszepnęło cichutko, nieśmiało ostatnią nutę.

A jednak—nie mogłam usnąć.

W myślach mych przesuwały się obrazy całego tygodnia — jedne po drugich.

Więc naprzód skautki z dalekiego wschodu, Indyj i Australji, potem te czarne, opalone słońcem afrykańskiem, i te z Ameryki i wreszcie bliższe Szwedki, Włoszki, szczególnie te maleńkie, młodziutkie z albumami w rękach, proszące jedna po drugiej o podpis „na pamiątkę".

A potem rozgwar ognisk wieczornych — pełen uroku i wielkich, poważnych myśli.

To znowu widzę szeregi matek Angielek, które każdego popołudnia przyjeżdżały, odwiedzić swe córki w obozie, i spędzić kilka godzin na świeżem powietrzu, nieraz z całą rodziną, wśród młodych, wśród przyrody.

To znowu stawała przedemną dobrotliwa twarz jen. Baden-Powella, który na kilka dni zjechał do nas, aby osobiście oglądać dzieło swego życia — rozrost i rozkwit organizacji skautowej. A przy nim kroczyła sędziwa siostra, staruszka miss Agnieszka, właściwa twórczyni żeńskiego skautingu, którą może jej wiek, a może jej wola usunęła w cień, zlewając wszystkie zaszczyty na żonę jen. Baden-Powella, która wiele ulepszeń wprowadziła, wiele pracy teraz poświęca skautkom, ale przecież i twórczyni należy się jakaś wdzięczność i cześć.

A potem znów przeskoczyła myśl moja na owe chwile ogromnie przyjemne, kiedy przy gotowaniu obiadu (bo i na mnie przyszła kolej) opowiadałam o mojej ojczyźnie, kiedy słuchały mię z zajęciem Angielka i Australijka i Włoszka i kilka innych, a znowu z oczu ich czytałam zdziwienie i podziw zarazem. To, co mówiłam, było dla nich nowością.

I nawet powiedziałam im głośno:

—Wiecie, u nas, uczennica przeciętna 6-tej, czy 7-ej klasy więcej powiedziałaby wam o Waszej Ojczyźnie, niż każda z Was—o mojej.

Ale zaraz pożałowałam tego, widząc ich skruszone miny.

Więc jakby dalej ciągnąc, spytałam:

—A wiecie dlaczego?

I nie czekając odpowiedzi, której i tak nie byłoby, dorzuciłam:

—Bo przez cały czas panowała krzywda na świecie i niesprawiedliwość dla narodów. Teraz zmieniły się czasy. Więc i wy poznacie, a z pewnością te, które po Was przyjdą, jaki jest nasz naród.

I potem często przychodziły do mnie, i kazały sobie opowiadać o nas, to znowu egzaminowały mię ze swojej historji i nie mogły wyjść z podziwu, że u nas w szkołach tyle uczą.

A chociaż czas spać, myśl moja biegnie dalej.

Obok mnie śpią już spokojnym

snem Angielki, Węgierki, tam dalej Australijka i Szwedki. Jaka cudowna zgoda.

Może skauting jest tą instytucją, która zrodzi nową erę, która zaszczepi naprawdę zasadę pomagania, a nie szkodzenia innym narodom, zasadę poszanowania przynajmniej, jeśli nie miłości między narodami.

Jak męczy ta myśl, jak strasznie męczy...

VI.

NAD MORZEM NIEMIECKIEM.

Dla zadzierżgnięcia bliższych nie tylko organizacyjnych, ale i osobistych węzłów, przeznaczono jeden tydzień na pobyt w różnych stronach Anglji.

Ja z dwiema jeszcze druhnami dostałam losem wybrzeże Morza Niemieckiego.

Był to tydzień istotnego wypoczynku i naprawdę wielkiego zbratania się z Angielkami, które gościły nas w swej ojczyźnie, w swych domach.

Po bliższem poznaniu Angielek jestem gotowa twierdzić, że flegmatyczny charakter angielski nie jest udziałem kobiet w tym kraju, a w każdym razie nie wybija się on tak wyraźnie, jak to sobie wyobrażają. I Angielki umieją unosić się i wybuchać zachwytem, śmiać się tak serdecznie, tak wesoło, jak my. Umieją też one marzyć i płonąć oburzeniem, a nawet wtedy gdy nie spodziewasz się silniejszego echa, toną wraz z tobą w zadumie, w zamyśleniu.

Szczególnie działa na nie morze...

Nie będę przysięgała, że moje doświadczenia odnoszą się do wszystkich bez wyjątku Angielek. W każdym razie te, z któremi przebyłam ów rozkoszny tydzień nad morzem, w całej rozciągłości stwierdzały wyżej przytoczone spostrzeżenia.

Nieraz w słoneczny dzień szłyśmy gromadką nieliczną na piaszczyste wybrzeże, smagane nieustannie wiatrem, głaskane bez przerwy zielonemi falami wód.

Dziwna rzecz......

Tam, w domu, czy w czasie przechadzek po polach, po lasach zawsze mówiłyśmy o sprawach dnia dzisiejszego, o naszych pracach w harcerstwie, o szkołach, one nam, my im opowiadałyśmy o życiu domowem, czasem o zwyczajach ludowych, o osobistych planach i marzeniach — a ile razy znalazłyśmy się nad morzem zawsze schodziła rozmowa na tematy polityczno-historyczne i nie było końca tym naszym gawędom o Niemcach, Rosji i Polsce.

Siadałyśmy zwykle na piasku i patrząc w morze, mówiłyśmy o tem, co boli, co niepokoi, to znowu o tem, co dumę naszą stanowi.

I wtedy widziałam, jak owe „zimne“ Angielki zapalają się, jak porywa je bohaterstwo, jak przejmuje niedola.

Jeszcze rozbiory Polski mniej wywoływały wrażenia.

Ale gdyśmy mówiły o powstańczych walkach, o latach niedoli, które przerywał wybuch bohaterskich, powstańczych zmagań — wówczas skupiały się wokół mówiącej i nieraz trzeba było różnych języków używać, aby dokładnie wypowiedzieć to, co słuchaczka pragnęła dobrze, wyraźnie pojąć i odczuć.

A kiedy mówiłam o Orlętach Lwowskich, o obronie własnego gniazda przez młode dzieci i niewiasty — wówczas nawet okrzyki wyrywały się z ich piersi wezbranych — naprawdę—jak nasze dumą, jak nasze, radujących się z triumfu słusznej sprawy.

Taksamo Cud Wisły wzbudził w nich ogromne zaciekawienie. Może dlatego, że opowiadałyśmy też o służbie pomocniczej harcerstwa. Może dlatego, że mówiłyśmy o porywie całego, całego narodu.

I wtedy jedna z Anielek rzuciła pytanie:

woju i w różny sposób. Np. pismo Murzynów z Kamerunu (Rys. 7).

Włóczędzy i cyganie amerykańscy mają pismo, oparte na podobnych zasadach (Rys. 8).

Znaki zamieszczone stanowią tylko cząstkę możliwych kombinacyj, które można tworzyć, przestrzegając zasady pisma.

Pismo indyjskie ma parę zalet, które sprawiają, że warto go się nauczyć. Po pierwsze znają je wszyscy skauci świata, więc można im przesyłać prosto wiadomości, nawet nie posiadając ich rodowitego języka. Powtóre uczy wyrażać się prosto i jasno. Nie pozwala na pisanie długich i zawiłych zdań, oraz w połączeniu ze znakami konwencjonalnemi znakomicie ułatwia wprawianie się w rysunku i pozwala codzień zapełnić obrazami z życia puste strony dzienniczka harcerza. Wreszcie uczy spostrzegawczości. Nie jest rzeczą łatwą tak uchwycić cechę pewnej rzeczy, aby ta się stała zrozumiałą dla wszystkich.

„Harcerz“ ma nadzieję, że obok listów zwykłych będzie otrzymywał listy obrazkowe. Będziemy je od czasu do czasu umieszczali. (Pisać trzeba tuszem na papierze bez linij i kratek. Rozmiar musi odpowiadać formatowi numeru).

M. S.



WIDOK ZWALISK MURÓW CHOCIMIA OD STRONY DNIESTRU.

ŚWIAT KSIĄŻEK.

PORADNIK DLA SAMOUKÓW t. V.

Bogactwa mineralne Polski są mało znane szerszemu ogółowi, jakkolwiek mamy w Polsce dość dużo skarbów, ukrytych w ziemi. Szkoła średnia nie daje dostatecznych o tem wiadomości, gdyż mineralogja, petrografja i geologja wchodzą u nas tylko jako część programu innych nauk: geografji albo chemji.

Poznanie mineralogji i petrografji w drodze samokształcenia nie jest rzeczą łatwą, przedewszystkiem dlatego, że do przestudjowania tych nauk potrzebna jest niejedna z zakresu innych nauk pomocniczych, jak chemja i fizyka.

Ułatwienie w studjowaniu mineralogji i petrografji daje samoukowi ostatni V tom Poradnika dla samouków, poświęcony mineralogji i petrografji, w wydaniu A. Heflicha i St. Michalskiego z zasiłku Kasy im. Mianowskiego, Warszawa 1925 r.

Samouk powinien zacząć książkę nie od wstępnego artykułu, opracowanego przez prof. J. Morozewicza, chociaż zjawia się chęć zacząć studjowanie przedmiotu właśnie od artykułu takiego specjalisty, zwłaszcza, że artykuł obejmujący 280 str. druku jest poważną pracą naukową, bardzo dostępnie i pięknie napisaną.

Jednak samouk powinien zostawić artykuł na zakończenie, uzbroić się w cierpliwość i zabrać się do przerobienia wszystkiego, na co wskazuje St. Małkowski w artykule „Stopień I” Stopniowo, powoli, od rzeczy najłatwiejszych, od książek bardzo dostępnych i popularnych, jak „Sól“ Dygasińskiego, „Siarka“ Jotejko-Rudnickiej i t. p. autor doprowadza przez 1-y i 2-gi stopień do swobodnego zrozumienia lepszych podręczników mineralogji.

W kwestji czytania książek autor podaje dużo wskazówek praktycznych, pomagających czytelnikowi, doradza sprawdzenie na doświadczeniach, zdobytej z książki wiedzy. Minerały do opracowania ułożone są w systematycznym porządku: od łatwiejszych, dobrze znanych z życia codziennego do coraz trudniejszych. Zaczyna autor naukę od soli kamiennej i na tym, dobrze znanym okazie zaznajamia z czystością, połyskiem, twardością, przełomem, łupliwością i t. p. Po zaznajomieniu samouka z tym minerałem w pracowni odsyła go autor do książki Dyakowskiego, a przy okazji radzi zwiedzić kopalnie soli w Wieliczce i warzelnie w Wieliczce, Inowrocławiu i t. d. Artykuł St. Małkowskiego na tym przykładzie soli w dostępnej formie uczy metody pracy, by przejść dalej do znanej również siarki, dalej do błyszczu ołowianego, pirytu i t. d., tu już wprowadza użycie dmuchawki ustnej. Gips, kalcyt, marmur, kwarc, skaleń, szkło i węgiel kamienny kończą program stopnia 1-go i samouk może się zabrać do studjowania „Wiadomości o mineralogji” Wiśniowskiego, lub „Mineralogji” Petersa. Do przerobienia wskazanego materjału jest potrzebna najskromniejsza pracownia, którą każdy może mieć w pokoju u siebie, bo czegóż potrzeba? Scyzoryk, szkło powiększające, lampka spirytusowa, kilka probówek i rurek szklanych, miseczka porcelanowa.

Druga część artykułu zawiera literaturę przedmiotu: „pogadanki i opowieści z zakresu mineralogji“. Nie widzimy tam ani jednej książki trudniejszej dla samouka.

Stopień II-gi St. Małkowskiego. Zbliżenie wewnętrzne uczącego się do świata minerałów przez poznanie najwybitniejszych, najważniejszych dla

człowieka przedstawicieli tego świata i przez zrozumienie podstawowych praw, rządzących tym światem, — takie jest zadanie nauczania mineralogji na tym stopniu. Tu już są potrzebne podstawowe wiadomości z chemji, fizyki i krystalografji. Bez elementarnej wiedzy z zakresu tych nauk trudno poznać minerał w związku z jego naturalnem podłożem. Minerał dla samouka jest widomym wynikiem zjawisk geologicznych. To też program jest stosownie ułożony:

1) Podział minerałów na krystaliczne i bezpostaciowe.

2) Powstanie kryształów.

3) Typy kryształów.

4) Zależność własności fizycznych kryształu od kierunków krystalograficznych.

5) Wewnętrzna budowa kryształów.

6) Sposoby powstawania minerałów w przyrodzie.

7) Typy osadów mechanicznych.

8) Przeobrażanie się skał.

9) Przegląd systematyczny ważniejszych minerałów.

Druga część artykułu znowu jest poświęcona literaturze. Tu już widzimy podręczniki szkolne z dość szczegółowem sprawozdaniem, co w każdym z nich można znaleźć, a dla niektórych podręczników wskazane są błędy i poprawki. Na tym stopniu już autor doprowadza nawet do takiego dzieła jak Neumayer'a „Dzieje Ziemi", coprawda tylko do 1-go tomu.

Trzeci artykuł St. Małkowskiego „Metodyka nauczania mineralogji" poświęcony jest przeważnie nauczycielowi mineralogji, ale samouk również powinien przeczytać ten artykuł.

Po dwóch wyżej wspomnianych stopniach przechodzi samouk do III-go stopnia, opracowanego przez T. Woynę.

Na tym stopniu chodzi o poznanie istoty zagadnień mineralogicznych t. j. skomplikowanych zjawisk geologicznych związanych z powstaniem złóż różnorodnych minerałów. Praca na tym stopniu wymaga poważnych pracowni, dość złożonych przyrządów i samouk nie da sobie rady o własnych siłach. Z artykułu T. J. Woyny może jednak mieć pojęcia o całokształcie pracy, której mógłby się poświęcić, ale już w zakładach naukowych. Artykuł o mineralogji chemicznej St. J. Thugutta daje bardzo szczegółowe pojęcie o przedmiocie i zadaniach oraz historję rozwoju tej nauki.

Jakkolwiek studjowanie mineralogji chemicznej wymaga gruntownej wiedzy i odpowiednich ćwiczeń z innych nauk, to jednak przeczytanie artykułu w poradniku daje samoukowi bardzo wiele, a dla zaczynającego studjowanie tego przedmiotu jest wprost koniecznem.

Koniec tomu jest poświęcony drugiej pracy J. Morozewicza „Mineralogja i Petrografja Polski", traktującej o złożach mineralnych Polski, o skałach ogniowych i osadowych ze wskazaniem odnośnej literatury.

Obie prace J. Morozewicza są napisane pięknym i dostępnym językiem. Samouk ledwo zacznie pracować, nie może zaniechać przeczytania prac J. Morozewicza. Parę słów podaje St. Małkowski o ochronie pomników przyrody nieożywionej. Cóż należałoby ochraniać?

Przykłady podane przez autora są tak jaskrawe i plastyczne, że dodać coś jeszcze trudno.

Oto parę przykładów:

Przed laty w kopalni węgla „Paryż" w Dąbrowie Górniczej pozostawiono cząstkę potężnego kilkunastometrowego pokładu węgla kamiennego, zwanego „Reden". Pokład ten był dostępny dla licznych wycieczek, któ-

re mogły przyjrzeć się budowie przy świetle dziennem i przenieść się myślą w odległe epoki powstania tego tworu. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że pokłady tej grubości należą do wyjątkowych. Chciwe ręce eksploatatora zniszczyły ten zabytek. Ten sam los spotkał groty w Olsztynie, których piękne stalaktyty poszły do hut szklanych. Takich przykładów jest w artykule więcej, niestety.

„Historja Nauk Mineralogicznych" St. Kreutza, „Materjały do dziejów mineralogji w Polsce" K. Koziarowskiego i dział informacyjny, opracowany przez T. J. Woynę kończą książkę.

Tom V poradnika można polecać pod wszelkiemi względami, i zaznaczyć należy, że książek tak szczegółowo, poważnie, a zarazem dostępnie dla szerszego wykształconego ogółu opracowanych i wydawanych mamy bardzo niewiele, zwłaszcza w czasach powojennych.

Cena tomu, zawierającego XIII + 769 str. druku jest tak niską 10 zł., że każdy może tę książkę nabyć.

W. Bicz.

Sieroszewski Wacław, Bajki. Ilustrowała barwnie Z. Stryjeńska. Inst. Wydawn. Biblj. Polska. Bydgoszcz-Warszawa, 8^0 str. 217. opr. zł. 10 Jest to śliczna książeczka na podarunek, nadająca się dla bibljoteczki harcerskiej każdej drużyny. Mogą ją czytać z równem zajęciem i starsi i młodsi, Nadzwyczajne, z humorem opowiadane „przygody tygrysa", historja rodziny małych myszek („w ruinach") oraz perypetje wiernie służących człowiekowi, a wypędzonych na starość z domu zwierząt („Inwalidzi") czyta się jednym tchem i dochodzi się do przekonania, że Sieroszewski umie lepiej podpatrywać przyrodę, a w szczególności życie zwierząt, niż... niejeden Harcerz Rzeczypospolitej. Umie wczuć się w psychologję zwierząt i patrzeć na świat ich oczyma. I dlatego jego opowiadania o zwierzętach są takie ciekawe. Ostatnia bajka „Dary wiatru północnego" — to najładniejsza ze znanych mi przeróbek tematu ludowego o młynku samomielącym i kijusamobiju, do której autor ślicznie wplótł rodzinne motywy podhalańskie i zbójnickie. Kto sam przeczyta, zachęci innych do czytania.

T. M.

Bronisława Ostrowska, Madej. Z ilustracj. A. Świdwińskiego. Warszawa. Biblj. polska. Duża 16^0 str. 48, cena zł. 2.60.

Znana bajka o strasznym zbóju Madeju, który dowiedziawszy sie o mękach, jakie czekają go w piekle, szczerze odpokutował wszystkie swoje zbrodnie. Swojskie motywy, ładnie opowiedziane przez wytrawną pisarkę dla młodzieży, dowcipne rysunki i przystępna cena zalecają tę książkę do jaknajszerszego rozpowszechnienia wśród młodzieży.

T. M.

O ile polepszycie dusze wasze, o tyle powiększycie prawa wasze i rozszerzycie granice wasze.

MICKIEWICZ.

J A K U T.

(Sylwetka harcerska).

Jakut jest najmłodszym z czworga harcerskiego rodzeństwa. Benjaminek całej rodziny, rozpieszczony i dziecinny, dziś prowadzi już drużynę — a jakże — i chłopcy wybrali go jednogłośnie, jak o tem z dumą opowiadał siostrom.

Przedewszystkiem czyni Jakut rewelację pewnego rodzaju. Oznajmia rodzeństwu (sami ważni) ni stąd, ni z owąd:

— Ja jestem z was najmądrzejszy!

— Patrzcie go! — drwi Zdzich — dlaczegóż to!

— Bo ja najwcześniej poznałem druha Strumiłłę!

Ale starsza trójka nie dała się tem zdetonować. Zwłaszcza, że Zdzich to prawnik, a jedna z siostrzyczek dziennikarka.

— Ale my teraz ciągle widujemy druha Strumiłłę i rozmawiamy z Nim, a o tobie nawet nic nie wie! — mówi na zakończenie Niusia.

Jakut uznał się za zwyciężonego.

Miesiące prawa harcerskiego przyjął z entuzjazmem.

— Zawsze to łatwiej być dobrym po kolei, kiedy się przyzwyczaisz!

Jakut jest słynnym gimnastykiem. Doskonale chodzi na rękach, stojąc na palcach tak przegnie się w tył, że podnosi ustami drobne przedmioty, skacze o tyczce i bez niej, jeździ na rowerze (często uprawia ten sport i w mieszkaniu), wspaniale gra w football, ślizga się, pływa, wiosłuje, rzuca dyskiem, oszczepem—ustawicznie się trenuje i moc czasu poświęca na gimnastykę.

—Jakut wyłamuje sobie kości—dokucza mu starsza siostra, Zosia, z którą żyje w wielkiej przyjaźni — tobie całe Harcerstwo idzie w mięśnie!

— A zato tobie — w głowę! — odzywa się Jakut.

Jest on „mistrzem do wszystkiego". Umie gotować, prasować, potrafi uszyć sobie mundur, plecak i czapkę. Cały rękaw ma naszyty sprawnościami. Wynikło raz z tego nieporozumienie. Tatuś Jakuta przyjechał na parę dni do Lublina i wybiera się z synkiem na spacer. Naraz spostrzega jego „sprawnościowy" rękaw.

— Bójże się Boga, Jakut — mówi oburzony, — cóż to masz taki rękaw połatany?

— Przecież to naumyślnie! to sprawności!

— A czy ci nie zabrakło materjału, że takie gołe masz kolana?

— Ach Tatusiu! — lituje się Jakut nad nieświadomością ojca — sam Baden Powell „takie" nosi!

Umie doskonale naśladować głosy zwierząt i ptaków, odkąd przygotowywał się na sprawność leśnego człowieka. To też budzi rano wszystkich odgłosami swojskiej fauny.

— Ach, to Jakut robi poranek w lesie!—domyśla się ktoś, obudzony z miłego snu.

— A, to poranek nad wodą! — majaczy się komuś, gdy słyszy zawzięte kumkanie żab.

Właściciel domu pyta raz mamusię Jakuta:

— Jakiej rasy jest ten duży pies u państwa? to chyba wilk?

Hipotezę swą opierał li tylko na szczekaniu Jakuta.

— Nasz Jakut to istna menażerja— żartuje Niusia.

— Nic dziwnego, że u nas płaci się co miesiąc drożej za komorne — to za te wrzaski jakucie — zauważyła kiedyś Zosia.

Raz całe rodzeństwo idzie na Pasterkę. Gdy byli już na Krak. Przedm. Jakut nagle głośno zaryczał, jak cielę.

— Jakut! — oburzyły się zgodnie siostry.

— Czego wy od niego chcecie? na Pasterkę to i bydlątka idą się pokłonić Panu Jezusowi — filozoficznie zauważył Zdzich.

— Jakut przestał ryczeć.

W roku 1920 mały Jakucik służył, jako kurjer w sztabie jenerała Rydza Śmigłego. Był taki dumny ze swojej roli, że wcale nie chciał z nikim rozmawiać. Porozumiewał się w domu niemal wyłącznie mruknięciem „mhm". Uważał Śmigłego za najlepszego z jenerałów i pocieszał się, że gdy bolszewicy zagarną całą Polskę, to sztab ucieknie do Anglji i może on, Jakut, zdąży jeszcze na Jamboree.

Kiedyś, gdy był na letnisku, napisał w liście do Mamusi:

„Wczoraj skaleczyłem się w palec tak mocno, że rozpękło się na dwie połowy, proszę niech Mamusia przyśle mi nowy scyzoryk, wędkę i haczyki".

Będąc na Zlocie Narodowym, był taki opalony, że jeden z panów, zwiedzających obóz, pokazał go drugiemu, mówiąc tonem głębokiego przekonania:

— Widzi Pan ten skaut to aż z Brazylji przyjechał!

Jakut strasznie lubi wodę i dlatego nazywają go domownicy i bliżsi znajomi „wodołazem". Podczas wakacyj urządza ciągle 2 — 3 tygodniowe wycieczki łódką po Wiśle w towarzystwie jakiegoś drugiego „wodołaza". Zabiera moc jedzenia ze sobą i wraca opalony, z repertuarem nowych dźwięków z dziedziny fauny i zawsze przynosi domownikom jakiś prezent, np. trochę rybek, orzechów laskowych i t.p.

Pisze ładne pamiętniki ze swych wycieczek, z których wyjątki ma podobno przesłać do „Harcerza".

Z. J.

Co nam radzi dziadzio Baden-Powell.

Znacie dobrze z życia szkolnego takie zdarzenia: jakiś buńczuczny osioł przystępuje do Ciebie i awanturuje się i grozi Ci, ponieważ myśli, że mu na to pozwolisz. Jeżeli jednak umiesz się boksować i zamierzysz się na niego pięścią, zmienia odrazu swój ton i trzyma się zdaleka.

Zupełnie tak samo jest z narodami.

Byłoby znacznie łepiej, gdybyśmy wszyscy byli dobrymi przyjaciółmi — i wszyscy tego powinniśmy pragnąć — nie wymyślając sobie wzajemnie i nie szydząc z siebie. Jeżeli jednak jakiś naród zabiera się do nas z myślą wymuszenia czegoś na nas, jedynym sposobem powstrzymania go jest okazać, że możemy uderzyć i że uderzymy, jeżeli nas do tego zmusi.

(*z Scouting for Boys*).

ROZMAITOŚCI.

SAMOCHÓD W ŚCISŁEM TEGO SŁOWA ZNACZENIU.

Po wynalezieniu sposobu kontrolowania na odległość biegu pociągów i okrętów, sposobem radioaktywnym, przyszła kolej na ciekawą próbę z samochodem, wykonaną na ulicach miasta Dayton (Ohio), ojczyzny samolotów. Pewnego dnia ujrzano tam samochód, jadący przez główną ulicę, gęsto przecinaną poprzecznemi uliczkami, wśród tłumu przechodniów, dający w odpowiednich momentach sygnały, chociaż był pusty i nie widać było, aby ktokolwiek nim kierował.

Za tym dziwnym samochodem podążał o kilkadziesiąt kroków z tyłu drugi, a w nim siedział wynalazca kapitan R. E. Vanghan, który kierował i kontrolował bieg samochodu, pędzącego przed nim, za pomocą wynalezionych przez siebie przyrządów radioaktywnych.

Widok pustego samochodu, który sam sobą kierował, na jednej z najludniejszych ulic i od czasu do czasu w miarę potrzeby dawał trąbką sygnały, oczywiście wywołał wśród przechodniów pewnego rodzaju przerażenie i popłoch. Lecz kierowanie motorem maszyny samochodowej na odległość z innego samochodu, w naszych czasach nie ma w sobie nic cudownego.

Sekret wynalazku polega na specjalnem urządzeniu kierowników, hamulców i syren, czułych na pewną elektryczną sygnalizację. Człowiek jest w możności panować nad motorami tysiącokonnej siły za pomocą lekkiego naciśnięcia pedału, użycia ledwie dostrzegalnego wysiłku dla wywołania ruchu olbrzymich sił; kierowanie na odległość jest czemś podobnem.

Bardzo nikła ilość prądu elektrycznego, zawarta w zbiorniku, który z łatwością może być umieszczony w samochodzie, może wywołać dostateczną ilość fal elektrycznych, aby oddziaływać z odległości na przyrządy kierownicze innego samochodu.

Lecz jakim sposobem — zapyta czytelnik — może działać na kierownik, hamulec, lub trąbkę czy syrenę samochodową?

Jest to rzecz bardzo prosta. Stacja odbiorcza radiofonów musi być w pewnej harmonji ze stacją nadawczą, aby przesyłane dźwięki mogły być słyszane. Jeżeli takiego wspólnego kamertonu, że się tak wyrazimy, niema, sygnały nie będą słyszane.

Samochód, kierowany na odległość, zaopatrzony jest w trzy czy cztery przyrządy do kierowania: jeden do zatrzymywania, drugi do puszczania w ruch, trzeci do kierowania i t. d. Każdy z tych przyrządów działa pod wpływem reakcji na sygnały, dawane zapomocą fal pewnej długości, czyli pewnych tonów.

Jeżeli człowiek, kontrolujący bieg tego samochodu, wysyła sygnał, działający, dajmy na to, na szybkość, nie będzie on miał żadnego wpływu na kierownik lub syrenę. Słowem aparat kontrolujący, musi być w możności wysyłania sygnałów różnych tonów, czyli fal rozmaitej długości, z których każda wyłącznie działa na pewien przyrząd kierowniczy samochodu, prowadzonego na odległość.

K.

Kandersteg (w Szwajcarji).



Mieliśmy tam jechać na czas wakacji.

Ale wobec trudności finansowych państwa, odkładamy wycieczkę do cudnej Szwajcarji na potem, aby i taka drobna kwota, jaką my, zaproszeni, mogliśmy wywieźć z kraju, pozostała tutaj.

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.?

Z ŻYCIA DRUŻYNY.

Wreszcie, po tylu miesiącach oczekiwania, nadszedł ten cudny dzień 17-go maja: będziemy składały przyrzeczenie, a przytem odbędzie się poświęcenie naszego ukochanego sztandaru drużynowego. Miałyśmy, pierwsze w drużynie, przyrzekać na nasz sztandar!

Po skończeniu ceremonji poświęcenia, wysłuchałyśmy prześlicznej mszy, a wreszcie nadeszła njważniejsza dla nas chwila: przyrzeczenie! — Każdy, kto je składał, wie jakie to straszne wzruszenie ogarnia człowieka, kiedy musi krokiem pewnym podejść do sztandaru i głośno, wyraźnie, po harcersku wypowiedzieć rotę przyrzeczenia, chociaż coś tak okropnie ściska za gardło, chociaż drżą kolana, że ledwo utrzymać się można. — „Mam szczerą wolę całem życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłuszną prawu harcerskiemu"!

Nie wiem, jak inni się czuli w tej chwili, ale my byłyśmy okropnie wzruszone, rozumiejąc, że to przecież „całem życiem" mamy pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, że to nie chwilowa obietnica — to poświęcenie całego życia idei harcerskiej!

Ale potem, gdy już krzyż zabłysnął na mundurze, opuścił nas ten lęk mimowolny — inne zupełnie uczucie, uczucie szalonej, przeogromnej radości rozpierało nam serca. Jakoś dziwnie mocno, potężnie prześpiewałyśmy rotę; wszystkie nasze dobre zamiary, postanowienia w tej pieśni się przejawiły. —Ach! żeby ten ogień, którym pałały wtedy nasze oczy nie ustał do końca życia, któżby się nam oparł?

Potem, nie mogąc już dłużej tej radości bez granic pokryć jaką taką powagą, zaczęłyśmy, dość głośno, by sprawiedliwego człowieka przerazić, spiewać nasze piosenki drużynowe.

I dzień ten, jak zaczął się radosnem oczekiwaniem, tak po spełnieniu marzeń naszych, był jedną radosną pieśnią dziękczynienia.

POŚWIĘCENIE SZTANDARU 2 W. Ż. D. H. im. TAD. KOŚCIUSZKI.

Druga Warszawska żeńska Drużyna im. Tadeusza Kościuszki obchodziła w dniu 3-go Maja podwójną uroczystość: bo nietylko to, że dzień ten, jako wiekopomna, wolnościowa rocznica święci się radośnie w całym kraju, ale i to, że w ten właśnie dzień wypadło święto Drużyny — poświęcenie jej sztandaru. Oddawna „Dwójka" marzyła o swoim własnym sztandarze, aż wreszcie marzenia te można było już zrealizować, gdy się okazało, że Drużyna zarobiła tyle pieniędzy, że na sztandar mogło już wystarczyć.

I oto — w święto 3-go Maja, na czele maszerującej Drużyny powiewał już prześliczny, amarantowo - biały, własny sztandar, wzbudzając dumę wśród druhen, wzniecając większą energję do pracy!

Akt poświęcenia tego sztandaru został dokonany w kaplicy pałacu łazienkowskiego przez ks. prałata Marjana Tokarzewskiego, kapelana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej; rodzicami chrzestnymi byli: opiekunka dr-ny, przełożona gimn. państw. im. Hoffmanowej p. Helena Goska i b. skarbnik K.P.H. przy Z.W.Ż.D.H., ojciec jednej z druhen p. Wojciechowski.

Po poświęceniu sztandaru odbyło się uroczyste przyrzeczenie najmłodszych druhen, które przyjęła komendantka W. Ż. Ch. dhna podharcmistrzyni Marja Skokowska, poprzedziwszy doniosłą chwilę przyrzeczenia serdecznem przemówieniem.

Po przyrzeczeniu parę słów do druhen powiedziała dhna podharcmistrzyni Marja Jiruska, i ojciec chrzestny sztandaru, p. Wojciechowski.

Poczem drużyna, pod rozwiniętym sztandarem przedefilowała przez miasto, wzbudzając wśród tłumów publiczności, świętującej dzień 3-go Maja, ogólne uznanie i oklaski.

ŚWIĘTO WIOSNY.

Słoneczny dzień majowy... Od wczesnego już rana dworzec Gdański przepełniony drużynami harcerskiemi, zdążającemi na wielki zlot chorągwiany do Płudów (część drużyn udała się już tam wczoraj i przepędziła noc w obozie).

Ruch, gwar i wesołość. Publiczność przypatruje się ciekawie tej ogromnej ilości młodzieży, aczkolwiek odnosi się do niej mniej życzliwie przy kupnie biletów. Specjalny pociąg odchodzi o godzinie 8.30, roześmiany, wesoły, radosny, jak ten słoneczny, uśmiechnięty dzień.

Obóz obydwóch chorągwi rozbity w Płudach — ładnie wyglądają namioty na tle bujnej, młodej zieleni brzóz—wznoszą się w pogodne niebo wysokie, smukłe maszty z chorągwiami — ładne stoły, w ziemi porobione, napisy, bramy — dużo humoru i wesołości — z kuchni polowych dolatują apetyczne zapachy — ot jak wygląda w najogólniejszych zarysach obóz, który zgromadził z górą 700 druhen i 1200 druhów. Wiośniana pogoda udzieliła się druhnom i druhom — i dlatego było tak wesoło, tak swobodnie i miło w całym obozie—prawdziwa harcerska atmosfera.

Najważniejszym momentem Zlotu było przyrzeczenie harcerskie,—które złożyło 40 druhen i 127 druhów. Druhny składały je każda osobno,

druhowie powtarzali razem rotę przyrzeczenia za druhem Sedlaczkiem. Po krótkiem przemówieniu druhny Wocalewskiej, druha Sedlaczka i druha Sosnowskiego w czyste, jasne powietrze, z setek młodych piersi wzbijają się poważne, do głębi przejmujące dźwięki Roty... a potem defilada... dziarsko, sprężyście defilują młode szeregi wobec przedstawicieli Z. O., Naczelnictwa, Głównych Kwater i Komend Chorągwi... i bardzo malowniczo wygląda ta defilada przy dźwiękach orkiestry na tle zieleni lasu.

O godz. 6.30 nastąpiło zwijanie obozu — a potem odjazd drużyn specjalnym pociągiem do Warszawy. Mała stacyjka w Płudach nie widziała jeszcze nigdy takiego mnóstwa „narodu" harcerskiego, który śpiewem skracał sobie czas oczekiwania na pociąg i wznosił gromkie „hip hip hura" na cześć spóźniającego się pociągu i który potem z niebywałym pośpiechem i zręcznością „władowywał się" do wagonów. Ano, temperament harcerski to przecie nie żarty! Samym już wieczorem ulicami stolicy przeciągały dziarskie drużyny ze śpiewem na ustach mimo zmęczenia. Zlot rozpoczął się o godz. 4.30 przeglądem drużyn męskich w Łazienkach. Potem odbył się przemarsz ich przez miasto i defilada przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza.

Drużyny, które spędziły noc w obozie były z niej zupełnie zadowolone, noc była miła, ciepła — ładne ognisko i gawęda. — Małe druhny skarżyły mi się wprawdzie, że w nocy coś straszyło w stodole i dopiero musiały wypędzić stracha słowami „wszelki duch Pana Boga chwali" („wtedy zaraz przestało stukać, jak druhnę kocham"), ale ten drobny epizod zanikł w ogólnej, radosnej harmonji.

I myślę, że to nasze święto wiosny, rozpoczęte pod znakiem takiej słonecznej pogody — będzie pomyślną wróżbą dla całej pracy wakacyjnej.

Z. G.



WSPÓLNE ŚWIĘCONE.

Przyszli nauczyciele, którzy poniosą oświaty kaganiec w szerokie warstwy ludowe, teraz w gronie harcerskiem święcą Pańskie Zmartwychwstanie.

PODRÓŻ DO K. D. H.

Pewnego razu, wybrały się do K. D. H. na Traugutta takie dwie harcerki, słynące z wielkiej roztropności (co prawda kandydatki do II stopnia). Idą, idą (a właśnie jadą, bo tramwajem) do tego nieszczęsnego K. D. H. gwarząc niepoważnie o poważnych rzeczach. Tramwaj dojeżdża do Królewskiej. Jedna wyskakuje z tramwaju a druga strasznie zamyślona nie rusza się z miejsca. W chwili gdy tramwaj rusza, czuje nagłą potrzebę wyskoczenia. A w tem ktoś: chaps! za rękę i mówi: „panienko, nie tędy się wysiada!" I jedzie sobie dalej rozmyślając o znikomościach tego świata i o konduktorze nie dającym wyjść wejściem. W końcu szczęśliwie się spotkały i idą. Doszły do K. D. H., stoją przed wystawą, stoją. —„Ty wejdź pierwsza"—mówi Hela. „O nie!—ty pierwsza"!—odpowiada Jadzia. Wreszcie Helenka wchodzi pierwsza. Czuwaj, czuwaj.

— Co druhenki sobie życzą? — zapytuje druh, na piersi którego świeci się krzyż (zdaje się stopień III).

— Co, co, ach prawda „Harce Młodzieży polskiej".

— Aha, druhu, jeszcze „Gawędy Instruktorskie" ile kosztują? — Druh przegląda, przegląda, wkońcu mówi: „2 złote". — „Dwa złote? to proszę zawinąć". Jadzia wyjmuje pieniądze, oblicza, oblicza, okazuje się, że ma pieć złotych.—„Leć, Helu—szepcze do Heli — i powiedz druhowi, żeby nie zawijał „Gawęd Instruktorskich". Hela leci (?) i mówi: „Druhu, Gawęd Instruktorskich nie trzeba! Proszę o „Zastęp harcerek". Druh spogląda na nie ze zdziwieniem, ale zawija.

Jadzia liczy pieniądze, ale cóż!? Nowe nieszczęście. Brakuje 15 groszy — szepcze zbolałym głosem — co teraz będzie? Ale Hela ją pociesza: „Nie martw się, Jadziu, druh ci odda za piękne oczy". Mimo tego druh niewzruszony: „Druhna jest dłużna 15 groszy. No, zresztą druhna odda mi później". Hela spuszcza oczy do ziemi (chce zobaczyć piekło, do którego się napewno dostanie).

Tymczasem druhowie porozumiewają się oczyma.

Hela podnosi oczy, a tu inny druh mówi uśmiechając się: „Druhna ma zdaje się, dług w kasie?" Hela robi taką minę, jakby z księżyca spadła i mówi strasznie oburzona: „Co, ja mam dług w kasie?" i ucieka czemprędzej,nie czekając potwierdzenia... Wsiadają do tramwaju, szukają pieniędzy, patrzą, a tu ani grosza niema.—„Przepraszamy, panie konduktorze, nie do tego tramwaju wsiadłyśmy!"

I wskazują. Ojej, nieszczęście! Na Pragę pieszo! Ale trudno idą, doszły nareszcie. Po drodze uradziły aby to zdanie, świadczące o roztropności harcerek, podać do „Harcerza".

P. S. Niech druhowie się nie mylą, myśląc, że druhny nie oddadzą tych 15 groszy. Oddadzą, oddadzą, nawet i z procentem!

Dwa Bziki.

STANISŁAWÓW.

Wojewódzkie to miasto liczące 65.000 mieszk ma tylko 1 drnę harcerską męską, i 1 żeńską. 3 gimnazja i seminarjum (mające ogółem 60% Polaków) złożyły się na drużynę. Innych szkół średnich niema, a powszechne i zawodowe leżą odłogiem, z powodu braku odpowiednich pracowników. Starsi chłopcy, maturzyści, stale odpadają, wyjeżdżając na studja, a pozatem żadnego instruktora, prócz drużynowego, niema.

Jednostek przyjaznych mało. Grona profesorskie naogół obojętne zupełnie. Niema również nauczyciela lub profesora harcerza, lub przynajmniej cokolwiek obeznanego z organizacją i metodą harcerstwa. Co do młodzieży, to bardzo krytycznym okazuje się rok 16, 17, 18, (5 i 6 kl.), w którym większość chłopców odpada, (mimo doskonałego środowiska, jakie stwarza drna) reszta zostaje na stałe w harcerstwie.

Drużyna obecna liczy 75 członków w 7 zastępach, z pdhmistrzem na czele. Smutne doświadczenia kazały stworzyć tę jedną drnę.

W r. 1911 zawiązały się 2 drny, które przechodząc różne koleje, pracowały stale do 1921 (zlot lwowski). W tym roku utworzono aż 9 drużyn, a rezultatem było rozpadnięcie się 8, między niemi jędnej starszej, już w połowie 1922. II starsza, w 1923 zbiera resztki innych i intensywnie pracuje rok. Podział jej w 1924 na drny, stwarza znowu półroczny zanik pracy, który wreszcie na początku 1925 znika po złączeniu się tych drużyn, w jedną.

Przewodnią myślą drny jest jakość nie ilość (mimo nowych prądów!). Chłopców ponad 16 lat—60%. Obozy stale co roku (ostatni kl. B), akcja wycieczkowa (bliskość

gór) silna. Wywiadowców 12, ćwików 2. Duch w drużynie dobry.

Równolegle mniej więcej idzie ruch żeński. Po inflacji w 1921 i 1922 następuje koncentracja lepszych sił w 1 drnie, borykającej się również z wieloma trudnościami, ale pracującej.

O wiele lepiej by było u nas, gdyby tę część sił, którą trzeba wszędzie i wciąż poświęcać na zwalczanie zła, obracać na czynienie dobra.

Ale mimo przeszkód, idziemy z podniesionemi głowami, czuwamy,— patrząc w lepszą przyszłość.

JAK DRUŻYNY KRAKOWA WIOSNĘ WITAŁY W NIEDZIELĘ PALMOWĄ.

Zacietrzewiła się tego roku zima kapryśnica i koniecznie chciała tym „zwarjowanym" harcerzom tak „dojechać", żeby choć raz nie mogli ruszyć się z miasta. Lecz— ani rusz; niema sanny — wolą na piechotę, zimno — zawiną się w co się da, i idą; deszcz — jeszcze gorzej, bo na dobitkę drą się juchy, aż uszy puchną: „choć burza huczy w koło nas"... Aż wreszcie dała sobie starucha spokój i odeszła. A harcerzyki odczekali tylko do najbliższego wolnego i dopiero hejże w pole, triumfując: „na nasze wyszło".

W izbie „Dzieci słońca" zaroiło się — idziemy. Kruki, Lisy, Dzięcioły, Bobry i Jelenie — wszystko wyje, krzyczy, zbiera się i co żywo do lasu. Rychło przekonujemy się, że nie tylko nasze zastępy walą za miasto, ale nieomal cały hufiec krakowski. Już na Błoniach mijamy „Pomarańczówkę" (nie tę od Baczewskiego!), oraz IV. Na Panieńskich Skałach znowu mijamy biwaki 2 wrogich sobie oddziałów „Bławatków" (IV kr.). Na Sowińcu, który był celem naszej wycieczki, panuje jeszcze cisza, przerywana tylko szelestem suchych zeszłorocznych liści. Schodzimy w las i w oczekiwaniu dalszych wypadków urządzamy prymitywną ucztę harcerską z pomarańcz, czekolady i t. p. darów Bożych. Lecz niedługo danem nam było spoczywać. Ze wszystkich kątów zaczynają na polanę wyłaniać się ciekawie biszkopty z wyminiętych drużyn. Króktie utarczki, krzyki, spory i posiłek. Równocześnie wyłażą z leśnych gąszczy także i nasze Kruki i Lisy, aby znowu zapaść w haszcze. Przynoszą jednak wieści, że oczekiwanych „szarych" nie widać, za to w lesie jest II Kr. Ale cisza już przepadła, bo gromada biszkoptów, obozująca opodal, wrzeszczy, trąbi i hałasuje tak, że zgorszone ptaki milkną, tylko słońce (które nic sobie z tego nie robi!) raduje się z ich ochoty. Odchodzimy nieco w las, by szukać wiosny. Las się budzi. Na krzakach pąki, pod suchemi liśćmi ruch i szmer, owady, nieco jeszcze senne, brzęczą radośnie do słońca. Zabłąkany szarak wyrywa tuż z pod nóg. Ptaków mało, kwiatów również, tylko nieco białych zawilców urozmaica szare podłoże. Wracamy na polanę. Tu spotykamy już „szarych", którzy właśnie zdają II stopień i gotują najniemożliwsze rzeczy dla nieszczęsnego egzaminatora. Mści się jednak i on, odprowadza ich po jednemu do lasu z mapą, skąd wracają z miną dość niewyraźną. Pod wieczór odchodzą z polany biszkopty, syte strzałów, ruchu i wrzasku, a za to wracają nasze Kruki, donosząc o 2 jeszcze drużynach, które napotkali pod Bielanami. Czas wracać. Ustawiamy się razem ze szarymi do odmarszu, lecz zatrzymuje nas alarm: jakieś ciury rozpaliły ogień na skraju lasu i teraz rozdmuchują zawzięcie pelerynami powstający pożar. Wpadamy biegiem i pożar, na szczęście jeszcze mały, tłumimy samym impetem. Dumni z dokonanego dzieła, wracamy wesoło do miasta, budząc jeszcze na zakończenie sensację na rojnym deptaku.

J. K. X kr. Dzieci słońca.

◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆

NASZE SĄSIADKI OD ZACHODNIEJ ŚCIANY.



Jedna z druhen warszawskich otrzymała bardzo serdeczny list skautki Niemki, która pragnie utrzymywać stały z nią kontakt korespondencyjny.

Na wezwanie skautki nasza druhna odpowiedziała uprzejmym listem, żywi nadzieje, że z pewnością ta niemka pozbędzie się szowinizmu i nienawiści w stosunku do Polski, które to uczucia tak niesłychanie przeważają wśród Niemców.

CZY WIECIE...

...Przez kogo wymyślona stenografja? Zaczątek stenografji jest przypisywany pewnemu niewolnikowi, wyzwolonemu przez Cycerona, który zwał się Tiro. Wymyślił on w celu zabrania mów swego pana, szereg znaków, które znamy pod nazwą „znaków Tirona",

Ten system potem udoskonalony został przez Senekę, który powiększył liczbę znaków do 5000. Potem służyły one chrześcijanom do spisywania kazań.

— — — — — — — — — — —

DRZEWA I SŁOTA.

Drzewem najbardziej odpornem na słotę jest jałowiec, który po siedmiu latach pozostaje nienaruszony. Potem idzie dąb oraz sosna szkocka, które w tym samym czasie ulegają tylko częściowemu zepsuciu, około 1 decymeter 1,4 głębokości. Tymczasem jesion i wiąz są zupełnie zniszczone po 6 latach, buk i klon już po 5 latach, wierzba i kasztan po 4 latach, topola i brzoza wytrzymają tylko 3 lata.

Dąb i olszyna są najlepszem drzewem okrętowem.

— — — — — — — — — — —

NIENAWIŚĆ WŚRÓD KWIATÓW.

Pewien przyrodnik odkrył, że róża i rezeda nie znoszą się wzajemnie. Gdy połączymy te kwiaty z innemi w wazonie z wodą, po godzinie można zauważyć, że róża i rezeda zwiędły i straciły swą woń, podczas gdy inne kwiaty zdają się ożywione nowem życiem. Taksamo narcyzy niszczą zupełnie bez, a także inne kwiaty.

— — — — — — — — — — —

MOŻNA OSWOIĆ I RYBY.

Profesor Francklin opowiada, że udało mu się oswoić szczupaka. Pewnego dnia, przechodząc koło basenu, zobaczył go, gdy pływał po wodzie ze skaleczoną głową. Goniąc za zdobyczą, szczupak zranił się o wycementowany kant basenu. Profesor opatrzył ranę i szczupak wyzdrowiał. Od tego czasu ile razy prof. Francklin zbliżał się do basenu, szczupak przybiegał do niego i pozwalał się głaskać, a nawet brać w rękę.

— — — — — — — — — — —

DLACZEGO WOKHILO-NI-KAWA POSIADA DŁUGIE NOGI I DŁUGI OGON I JAK WYMYŚLONO PIERWSZĄ KIESZEŃ.

W czasie, gdy ziemię zamieszkiwały tylko zwierzęta, daleko na wielkiej wyspie, przebywał Wokhilo-Ni-Kawa, będący w tej odległej epoce wielkości psa. Słońce, które zwierzęta nazywały Vokylu-Thanga — ten, co wszystko oświeca — paliło tego dnia jak ogniem i Wokhito-Ni-Kawa usnął. W tejże chwili Matchi-Manitou zły duch — wzpuścił

Wiatr Nieszczęścia, zwany Schan-Tchan-Kiou; ten wiatr (podi) wzniósł w swoim biegu małe ziarnko piasku, i to małe ziarnko poleciało daleko, daleko, ponad ziemię znaną i ziemię nieznaną i upadło na nieszczęście w lewe oko Burka-Li-Vohny — boga pełnego mądrości i przenikliwości. Burk-Li-Vohny przetarł oko i ziarnko piasku wypadło. Powędrowało ono z siódmego nieba aż na wyspę, gdzie znajdował się Wokhilo-Ni-kawa, ale spadając z tak wysoka zamieniło się w deszcz, który długo, długo padał na wyspie, a Wakhilo-Ni-kawa spał wciąż i spał, a piasek podnosił się i podnosił ciągle. I tak gdy Wokhilo-Ni-kawa się obudził, tylko głowa jego i przednie łapy wystawały z piasku. Zaczął tedy drapać, drapać... Ale jego łapy przednie zużyły sie i zmniejszyły. Zaczął znowu wyciągać się wyciągać... jego tylne nogi i ogon wydłużyły się niezmiernie. Zaczął wyszukiwać pożywienia, ale nic nie znalazł. Stał się przeraźliwie chudy, brzuch mu się zapadł, a u skóry utworzyła się wielka kieszeń. W końcu znalazł jakiś krzak, który zjadł i dlatego nie umarł z głodu. Ale pozostał tak, jak był, a dzieci jego i wnuki także; oto dlaczego Wokhilo-Ni-kawa, którego dziś ludzie zwą kangurem, ma łapy przednie krótkie, a tylne i ogon bardzo długie, a pod brzuchem posiada kieszeń. Oto jak wymyślono pierwszą kieszeń, której żaden skaut ani harcerz, ani zresztą nikt inny nie używa dla trzymania w niej rąk, ale tylko dla przechowywania w niej chusteczki, sznurków, nożyka i t p. pożytecznych przedmiotów.

H. J.

GRY SKAUTOWE.

Żywność. Wymień nie mniej 12 różnych rodzajów żywności, jakie znajdziesz w kraju, przypuszczając, że niema odpowiednich zapasów u rzeźników, piekarzy, w sklepach korzennych i t. p. Szczupak lub pstrąg nie są uważane za różne rodzaje żywności w tym wypadku.

Rozniecanie ognia na wyścigi. Zebrać materjał, ułożyć ognisko i na dany znak zapalić je i podsycać, dopókiznie zapali się kłoda drzewa dana przez sędziego. [Znak rozpoczęcia wyścigów może być dany przed ułożeniem ognisk lub po ułożeniu, zależy to od zarządzenia sędziego].

Czy widziałeś już w Warszawie

Motocyklowe wózki, na których jeżdżą posłańcy pocztowi, wybierając listy ze skrzynek? Zastąpiły one dawne, powoli ruszające się, konne.

Automaty ustawione na ulicach celem dostarczania benzyny samochodom. Przypatrz się, jak funkcjonują!



RATUSZ W CHEŁMNIE.

STRACH PRZED TĘCZĄ

SIDNY STRAND.

CHOROBA SIR RONALDA BOYNE.

Gorące okrzyki zachwytu rozlegały się z setek ust i ogromna sala „Poliseum Music Hall'u" rozbrzmiewała grzmotem oklasków. Na scenie wysoka, uśmiechnięta kobieta, otoczona bukietami kwiatów, ukłonami żegnała publiczność, słysząc dookoła pochwały i wyrazy uznania. Wreszcie spuszczono ogromną, pluszową kurtynę.

Tomek Darrell zwrócił się do swego młodszego kolegi i pomocnika Roya Martina.

—Jest to jedna z lepszych rzeczy, jakie ostatnio słyszałem—powiedział. Roy z zapałem potwierdził zdanie zwierzchnika.

Był to fakt niecodzienny, że Darrell mógł spędzić wieczór w teatrze. Roy, któremu detektyw zaproponował ten rodzaj rozrywki, nie pozwolił się długo prosić, zwłaszcza, gdy Darrell polecił mu wybranie samej sztuki. W ten właśnie sposób detektyw chciał okazać swemu podwładnemu uznanie za spryt, jaki Roy okazał był podczas jednej z ostatnich prac.

Rozpoczął się antrakt i Darrell udał się do bufetu, pozostawiając Roya, pilnie studjującego program.

Tymczasem Roy, zasłonięty programem, pilnie przyglądał się trójce osób, siedzących przed nim. Towarzystwo to składało się ze starszego pana o siwych włosach i inteligentnym wyrazie twarzy, młodszego mężczyzny w wieku lat trzydziestu i młodej panny.

Trójka ta nie zwróciłaby na siebie uwagi zwykłego śmiertelnika, jednakże wprawne oko Roya spostrzegło natychmiast dziwne zachowanie się kobiety. Oczy jej były zamyślone i napełnione grozą w chwilach, kiedy zwracały się ku starszemu panu, który najwidoczniej był jej ojcem. Roy zauważył także, że od czasu do czasu rzucała ona spojrzenia na młodszego mężczyznę, siedzącego po drugiej stronie starszego pana, na które tamten odpowiadał podobnemi spojrzeniami.

Chociaż to była tylko rozmowa oczu — Roy był jednak pewny, że ci dwoje władają nią doskonale, rozumiejąc wszystkie jej szczegóły. Wydawało się, że pilnują oni człowieka, siedzącego między nimi, jakgdyby oczekując czegoś strasznego, a nieznanego; ich częste spojrzenia przekonały Roya, że w ten sposób usiłowali oni wzajemnie dodać sobie odwagi.

Po chwili powrócił Darrell; kurtyna znowu poszła w górę. Roy szybko zapomniał o trójce, śledząc z zainteresowaniem sztukę.

Akt następował za aktem—wszystkie były znakomite. Wreszcie nastąpiła druga przerwa. Zamiast spuścić kurtynę, zgaszono światła, część zaś sceny puszczono w ruch, a na wirującej części sceny ukazało się silne, białe światło.

Szybko poczęło się ono rozsuwać, zabarwiając się na niebiesko, później zaś czerwono, w miarę upływu czasu, pojawiły się nowe barwy i koło poczęło się mienić kolorami tęczy, obracając się z nadzwyczajną szybkością.

Roy i Darrell widzieli już nieraz poprzednio podobny efekt świetlny—była to jedna z nowszych metod, stosowanych przez dyrekcję dla większego zainteresowania publiczności i zarazem zareklamowania swojego teatru.

Nagle w krzesłach przed Darrellem i Royem powstało zamieszanie, a w następnej minucie szum strachu i zdziwienia dookoła siedzącej publiczności, skoro wysoki, starszy pan, na którego Roy poprzednio zwrócił był uwagę, gwałtownie zerwał się z krzesła.

— Zabierzcie je! — krzyknął z akcentem ścinającego krew w żyłach strachu.—Zabierzcie je jaknajprędzej, powiadam, gdyż inaczej zwarjuję!

Zanim Darrell zdołał się zorjentować w sytuacji, starszy pan, błędnie rozejrzawszy się dookoła, wskoczył na swój fotel i, usiłując przeskoczyć przez poręcz, zawisł całem ciałem nad głową detektywa.

Ten ostatni usiłował odsunąć się na bok, było już jednak za późno, a w następnym momencie rozpaczliwie szamotał się z dobrze zbudowanym mężczyzną, którego drżące ręce frenetycznie ściskały go za gardło.

Sytuacja była poważna, szczęśliwie jednak Darrell, odzyskawszy zimną krew, przy pomocy służby teatralnej zdołał uwolnić się od niespodziewanej napaści.

Po kilku minutach szamotania, starszy pan został wyprowadzony do poczekalni, gdzie, odzyskawszy przytomność, zatopił się w myślach.

Dziewczyna i młodzieniec, którzy pośpieszyli również do poczekalni, starali się uspokoić go i przyprowadzić do równowagi, zabiegi ich jednak nie odnosiły żadnych

rezultatów. To też z rozpaczą zwrócili się oni do Darrella i Roya, stojących obok w zdumieniu i zaciekawieniu.

—Winniśmy się usprawiedliwić przed panami — rozpoczął młodzieniec, czerwieniąc się w zakłopotaniu.—Nigdy jednak nie spodziewaliśmy się czegoś podobnego.

— Ależ proszę się nami nie martwić — odpowiedział Darrell z uśmiechem.—Możeby państwo skorzystali z mojego powozu? Mogę go mieć za parę minut.

Widząc zaś dziękczynne spojrzenie młodzieńca, Darrell zwrócił się do Roya, któremu wydał krótkie polecenie.

Po wyjściu Roya, Darrell przedstawił się towarzystwu i z drugiej strony dowiedział się nazwiska pana, którego zachowanie się było tak zagadkowe.

—Sir Ronald Bayne—powtórzył detektyw z ciekawością. — Czy to on nabył świeżo Raven Manor, tę starą posiadłość na Surrey, która tak długo pozostawała niezamieszkałą?

Dick Bayne potwierdził.

—Jeżeli mam powiedzieć panu prawdę—szepłał, odprowadzając detektywa na bok—byłbym szczęśliwy, gdyby ojciec był go nigdy nie widział. Te dziwne ataki strachu i furji rozpoczęły się właśnie od czasu, jak zamieszkaliśmy w tem strasznem miejscu z jego tajemniczemi cieniami i odgłosami echa.

Powrót Roya przerwał na chwilę dalszą rozmowę. Sir Ronald, który się nieco uspokoił, został wyprowadzony z poczekalni i usadowiony w powozie. Dick i Darrell zajęli miejsca obok siebie na przedzie.

Podczas drogi Dick Bayne szczegółowiej opowiedział całą sprawę, którą Darrell uznał za jedną z bardziej interesujących i tajemniczych, jakie miał kiedykolwiek.

Okazało się, że kilka miesięcy temu Sir Ronald Bayne, kupiwszy Raven Manor i odrestaurowawszy część jego, zamieszkał tam razem ze swoim synem Dickiem i córką Ethel.

W dwa tygodnie po zajęciu nowego mieszkania, Sir Ronald począł zdradzać objawy rozstroju nerwowego. Godzinami siedział w fotelu, pogrążony w myślach, a wszelkie usiłowania nawiązania z nim rozmowy, wywoływały ataki wprost szału. Rady zaś jago dzieci, aby się udał do lekarza, wprawiały go w dziką pasję, co zmuszało je do milczenia.

Z biegiem czasu charakter Sir Ronalda stawał się coraz nieznośniejszy. Na śniadanie rano schodził on z dziką, bladą twarzą i zamyślonemi oczami, oglądając się trwożnie za siebie, jakgdyby oczekując ataku nieznanego jakiegoś wroga.

W rozpaczy Dick na własne ryzyko wezwał doktora Warrena, dawnego przyjaciela Sir Ronalda, któremu przedstawił zachowanie się ojca, prosząc równocześnie o ostrożne zbadanie stanu chorego.

Doktór nie był jednak dłużej z Sir Ronaldem, jak trzy minuty, gdy ten ostatni rzucił się na niego z furją i wyrzucił za drzwi, następnie zaś zwymyślał syna i córkę „za szykanowanie go".

—Czy nie wie pan, co go tak dręczy?—zapytał Darrell.

—Nie jestem tego pewny,—odpowiedział Dick, ale obserwując ojca bardzo pilnie, zauważyłem, że wyprowadza go z równowagi silne białe lub kolorowe światło. Dla potwierdzenia moich domysłów, kazałem w naszem mieszkanin przyćmić wzsystkie światła. Ojciec natychmiast spostrzegł powyższą zmianę i wydał polecenie wręcz przeciwne.

Tymczasem powóz zbliżał się do starego dworu. Było już późno, to też Darrell i Roy chętnie przyjęli zaprosiny pozostania do następnego rana. Głównie cieszył się Darrell, który uznał sprawę za bardzo ciekawą i postanowił rozwiązać ją dla własnej swojej satysfakcji.

DZIWNE POSZLAKI.

Nawet Frank Darrell nie mógł się spodziewać tak szybkiego rozwiązania tajemnicy,—co zdarzyło się w kilka godzin po jego przybyciu do Raven Manor.

Zaledwie detektywi położyli się spać w przeznaczonym dla nich pokoju, jak nagle doszedł do ich uszu dziki krzyk bezgranicznego strachu.

W jednem oka mgnieniu Darrell wyskoczył z łóżka. Jego pokój przylegał do pokoju Sir Ronalda i właśnie stamtąd pochodził krzyk. Skoro tylko rozpoczęli się posuwać po korytarzu, spostrzegli naprzeciwko biegnącą napół ubraną postać,

Był to Sir Ronald Bayne. Oczy jego były szeroko otwarte i przarażone. Cały jego wygląd przypominał człowieka obłąkanego.

Za nim biegł szybko Dick i kamerdyner Mead. Gdy sir Ronald przebiegał obok Darrella, detektyw szybko schwycił go za ramię i spokojnie, lecz stanowczo skierował do swego pokoju.

Następnie, skoro Dick Bayne zrównał się z Darrellem, ten wymienił z nim parę słów i, pozostawiając baroneta z jego synem, kamerdynerem i Royem, sam skierował się do pokoju, z którego wybiegł był Sir Ronald.

Jeszcze na korytarzu doszedł detektywa głos Sir Ronalda, który zmieniał się w pewien rodzaj śpiewu; Darrell słyszał wyraźnie:

—Światła! Ach straszne, żyjące światła! Płoną one w moim mózgu, tańczą zawsze, tańczą, jak demony, przed mojemi oczami.

Darrell, wchodząc do pokoju baroneta, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Zrobiwszy to, rozejrzał się badawczo dookoła.

Następnie szybko przetrząsnął pokój, otwierając szafy i odsuwając firanki i portjery, wszystko jednakże zdawało się być w porządku. Nagle jastrzębi jego wzrok, krążąc dookoła po pokoju, zatrzymał się na białej ścianie, przylegającej do drzwi, przez które był wszedł. Zadziwił go ten fakt, że pozostałe ściany, pomalowane były wodnemi farbami, koloru jasno-kremowego.

Darrell stał na środku pokoju, za jego plecami znajdował się piec, obok którego po prawej stronie było biurko, po lewej kilka półek z książkami, w kącie zaś umywalnia. Przed nim po lewej stronie stało duże, stylowe łóżko, zasłonięte firankami. Również przed nim na wysokości jego wzroku znajdowało się szczelnie zasłonięte okno, obok zaś toaleta. Pomiędzy łóżkami i umywalnią były zamknięte drzwi z dwoma lufcikami u góry.

Detektyw zbliżył się do tych drzwi, okazało się jednak, że są zamknięte na klucz. Oglądając dokładnie drzwi, spojrzał do góry i zauważył, że jeden z lufcików jest otwarty, jak gdyby dla wentylacji. Darrell przyniósł natychmiast krzesło, wolno wszedł na nie i badawczo zajrzał przez otwór.

Pokój po drugiej stronie był długi i wąski, dawniej najwidoczniej służył on za garderobę, obecnie zaś zamieniony został na skład, gdzie gromadzono podróżne kufry, pudełka od kapeluszy i niepotrzebne rupiecie. Przedmioty te zajmowały niemal cały pokój, który, jak zauważył Darrell, miał z lewej strony jeszcze jedne drzwi, wychodzące prawdopodobnie na korytarz.

Darrell przez chwilę przyglądał się pokojowi, gdy nagle ręka jego, przesuwając się po brzegu lufciku dotknęła czegoś lepkiego. W następnym momencie zeszedł on z krzesła i poszedł szybko do światła, aby obejrzeć swoje palce. Oczy jego radośnie zabłysły, gdy spostrzegł na nich ciemnozieloną plamę.

— Tłuszcz do smarowania zawiasów! — wyszeptał, uśmiechając się — wcale fantastycznie doszedłem do rozwiązania tej nietrudnej zagadki.

Po paru chwilach Darrell opuścił sypialny pokój i skonstatował, że sir Ronald został zabrany do pokoju Dicka, gdzie uspokoił się nieco i zapadł w niespokojny, nerwowy sen.

Noc upłynęła spokojnie, nazajutrz Darrell i Roy wstali wcześnie przed świtem.

— Idę na wywiad — powiedział Darrell, skończywszy zawiązywanie krawata. — Czy chcesz iść ze mną?

Roy zauważył, że oczy zwierzchnika iskrzyły się zapałem. Była to niewątpliwa oznaka, że detektyw znajduje się na tropie ważnego odkrycia.

Zaledwie ogrodnik i kucharz byli na nogach, gdy Frank Darrell i Roy Martin wyszli z domu i okrążyli wschodnie skrzydło dworu. Ta część dworu znajdowała się w ruinach i pozostawała niezamieszkałą.

Detektywi weszli do budynku i skierowali się wzdłuż wyłożonego kamieniami przejścia, zarośniętego chwastami i trawą. Po paru minutach dotarli do jakichś wąskich schodów, po których Darrell, zapaliwszy elektryczną latarkę, ostrożnie począł się spuszczać; Roy wolno posuwał się za nim.

Schody kończyły się gwałtownie i detektywi znaleźli się w wąskim, kręcącym się korytarzu, który przecięty był wysoką ścianą.

— Według moich obliczeń, jesteśmy obecnie pod tą częścią dworu, którą zamieszkuje wraz ze swoją rodziną sir Ronald — powiedział Frank. — Po drugiej stronie tej oto ściany musi istnieć drugie wejście do podziemia i mam wrażenie, że znajduje się ono w zamieszkałej części dworu.

Po śniadaniu wywiadowcy wyszli znowu, tym razem przeszukali oni zamieszkałą część dworu, na co uzyskali pozwolenie Dicka Bayne.

Powracając z tych poszukiwań, Darell i Roy spotkali Dicka, który przedstawił ich wysokiemu, dobrze zbudowanemu mężczyźnie, o wyglądzie zamożnego wieśniaka.

— Pan Wainvright,—oświadczył Bayne — jeden z naszych sąsiadów, który łaskawie informuje się o stanie zdrowia mojego ojca, ponawiając równocześnie swoje uprzednie zaprosiny na tydzień lub dwa do jego posiadłości. Ojciec nie chce jednak o tem nawet słyszeć—jest taki uparty.

— Bardzobym był ucieszony, gdyby sir Ronald zechciał mnie odwiedzić — powiedział Wainvright z uśmiechem. — Jestem pewny, że zmiana miejsca zrobiłaby mu bardzo dobrze, tego samego zdania jest również dr. Warren, z którym miałem sposobność mówić o chorobie sir Ronalda.

Wymieniwszy jeszcze kilka uprzejmych zdań, Wainvright odjechał. Pod pretekstem dalszych poszukiwań, Darrell przeprosił Dicka i szybko oddalił się z Royem. Podczas

drogi detektyw zwrócił się do swego pomocnika:

— Zdaje mi się, że odkryłem już całą sprawę — powiedział. — Wszystko dotychczas idzie zgodnie z mojem przypuszczeniem. Nie mamy jednak ani jednej minuty do stracenia. Przedewszystkiem musisz wykonać kilka czynności. — Tu zniżył głos i dał Royowi kilka krótkich poleceń.

Roy słuchał uważnie słów zwierzchnika i natychmiast oddalił się szybko we wskazanym kierunku. W tym samym czasie Darrell ostrożnie wchodził na schody, prowadzące do pokoju z kuframi.

Po kilkunastu minutach wyszedł on z powrotem z pokoju i w oczach jego znowu świeciły radosne błyski. Poszukiwania jednak widocznie nie zostały jeszcze ukończone, gdyż udał się znowu na dół do korytarza, gdzie, po paru minutach poszukiwania, znalazł jakiś pokój, który szczegółowo obejrzał.

Kilka następnych dni przeszło bez żadnych ważniejszych wypadków, nakoniec pewnego popołudnia Darrell zwrócił się do Dicka Bayne.

— Zdaje mi się, że mogę panu obiecać rozwiązanie całej zagadki w ciągu najbliższych 24 godzin—powiedział spokojnie—muszę jednak wiedzieć, kto ze służby będzie dzisiejszego wieczora zajęty, kto zaś wolny poza domem?

Dick zastanowił się przez chwilę.

— Dzisiaj mamy czwartek — odpowiedział, — jest to jedyny dzień, kiedy cała służba pozostaje w domu.

— Znakomicie! — oświadczył detektyw. Poczem po kilku następnych słowach oddalił się szybko, pozostawiając razem zdumionego Dicka i Roya.

ROZWIĄZANA ZAGADKA.

Zmęczona, starcza twarz poruszała się niespokojnie na poduszkach dużego stylowego łóżka i ciche stękanie wydobywało się z drżących warg—był to jedyny dźwięk, który zakłócał ciszę nocną.

Przez wąską szczelinę w firance na oknie do sypialnego pokoju wpadł jasny słup księżycowego światła, oświetlając siwą głowę i blade oblicze starca. Myślące, błędne oczy były zamknięte, powieki jednak drgały nerwowo i otwierały się co pewien czas, natychmiast zamykając się w zmęczeniu, człowiek zaś odwracał się do ściany, napróżno usiłując zasnąć i zapomnieć o wszystkiem.

(d. c. n.)

PRENUMERATA:

Rocznie	wraz	z przesyłką		12 zł.
Półrocznie	„	„	„	6 zł.
Kwartalnie	„	„	„	3 „
Miesięcznie	„	„	„	1 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę.	100 zł.
za pół strony	55 „
za ćwierć strony.	30 „

Numer pojedyńczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza” w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T.Uhma.*

Druk. p. f. „LECH“, Sp. z o. o., Koszykowa 33, Tel. 403-66.